Nr. 43 (1087). Warszawa, dnia 26 (13) Października 1901 r. **Rok XXI.**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 60. rocznie rb. 10.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki i piątki od 11 do 12 rano.

Rękopisów nie odsyla się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu 6 miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.



IZBY FRANCUSKIE.

Dnia 22 b. m. Izby Rzplitej francuskiej rozpoczęły kampanię zimową. Senat w dzisiejszym swym składzie na początku roku przyszłego dozna częściowej tylko odmiany, ale Izba poselska cała, jak jest, na wiosnę zapadnie w przeszłość; kończy się jej pięciolecie; rozpoczynana obecnie kampania wypełni ostatni już podokres jej władzy prawodawczo-zwierzchniczej. Przy żywości temperamentu i ostrej indywidualizacyi stronnictw, myśl o nowych wyborach, troska o nie i żądza zwycięstwa — wcisną się w czynności prawodwcze i zwierzchnicze; każdy wybitniejszy polityk, każdy majster w rzemiośle politycznem, wygłaszając mowę, wnosząc interpelacyę lub projekt, będzie aktorem na scenie, popisującym się przed publicznością wyborców, swoich i nieswoich, dla zaskarbienia ich sobie na dzień walki i gonitwy. Urozmaici to „sesyę," ale nie przyśpieszy jej prac—nie pozwoli na pracę porządną. Na czele majstrów pójdą ministrowie. Nie na to trzymają oni lejce w ręku, aby się dać ubiedz na wyborach. Zarazek tkwi zbyt dawno i zbyt głęboko w organizmie, aby nie miał zaświadczyć o sobie, że jest; kandydatura urzędowa w słabszem wprawdzie natężeniu gwałtu, niż za Napoleona III, nie mniej jednak trzyma się wciąż we Francyi. Rząd tam po dawnemu *robi* wybory, a minister im lepszy, silniejszy, z tem większą gorliwością zabiera się do roboty.

Programat zapowiedziany przez p. Waldecka-Rousseau i jego kolegów mieści w sobie jeden punkt, który mógł wyjść z przekonania od interesów wyborczych niezależnego, ale niezawodnie w gorliwości owej znalazł podnietę i rozpęd. Rząd demokratyczny rzeczypospolitej nareszcie wchodzi na drogę demokracyi socyalnej, czy też socyalizmu państwowego, jak się to dzisiaj w Europie nazywa: przygotował projekt pieniężnego zabezpieczenia robotników na starość, niemieckie *Altersversicherung.* Według dawniejszych wynurzeń czekał z tem dobrodziejstwem dla milionów fizycznie pracujących na uchwalenie prawa o stowarzyszeniach, religijnych mianowicie: zakonne majątki miały dostarczyć głównej podstawy materyalnej dla upragnionej instytucyi. Majątki zawiodły oczekiwania; musiano głębiej sięgnąć do źródła, które logicznie i praktycznie zawsze pierwszem być powinno: w wyższej mierze, niż zamierzano z początku, obciążono kapitał przemysłowy. Rodzący się porządek ma za sobą znaczną część inteligencyi socyalistycznej we Francyi, m i ogół robotników, ale przeciwko sobie znajdzie gotowy do walki opór zagrożonych utratą części zysków, a stąd uważających obciążenie za brzemię, za targnięcie się na własność, na samo prawo własności. Egoizm stanowy i klasowy wszędzie tak się objawiał, objawi się też i we Francyi.

Zabezpieczenie jest głównym atutem politycznym rządu. Komisya budżetowa dorzuca mu drugi od siebie — wcale dla niego nie pożądany. Po tylu już, co parę lat z programatu radykalizmu republikańskiego i socyalizmu wyciąganych i przed Izbę stawianych wnioskach o zniesienie budżetu wyznań teraz już sama komisya budżetowa Izby żąda zupełnego wyrzucenia etatu duchowieństwa, czy tylko katolickiego, czy wogóle wszelkiego — tego nie wiemy, lecz w tem wyzbywaniu się ciężaru mamy obowiązek domniemywać się równouprawnienia wszystkich i wszelkich, jakie są, wyznań we Francyi. W materyalnej rzeczywistości inne wyznania prócz katolickiego nie zmieniają doniosłości budżetowej środka, projektowanego jako prosta oszczędność; ale dla charakterystyki dążeń umysłowych uprzywilejowanie tą oszczędnością samego tylko katolicyzmu byłoby wielce znamiennem. Na wszelkie budżety wyznań patrzyliśmy tu zawsze, jak na szczątkowy przeżytek. Wszelkie wyznania, wszelkie ich głębsze i płytsze, mniej lub więcej wojownicze lub spokojne organizacye są sprawą społeczeństwa, a nie państwa. Świeżo wprowadzone i stwierdzone we Francyi pojęcie kościoła jako stowarzyszenia dotykalnie fakt ten wyłania z kłębiących się mniemań, począć, instynktów i interesów wszelkich obozów i zasad polityczno-społecznych. Wyznawanie jakiegoś systematu prawd religijnych jest funkcyą spełniającą się w łonie samego społeczeństwa i samemu też społeczeństwu, jego środkom, jego duchowym i ekonomicznym zasobom i siłom pozostawione być winno.

Jedne tylko Stany Zjednoczone Ameryki Północnej prawdę tę jeszcze w końcu XVIII w., zaraz po uchwaleniu konstytucyi związkowej, zrozumiały i uroczyście w konstytucyę tę wprowadziły. Tam nietylko religia czy wyznanie niczego od państwa spodziewać się nie może, ale gdyby nawet powzięły kiedykolwiek jakąkolwiek nadzieję, państwu *nie wolno* byłoby jej urzeczywistnić: z obawy fanatyzmu i ciemięztwa Amerykanin w porannem jeszcze słońcu wolności zakazał kongresowi wszelkiego wtrącania się do spraw religijnych. Wyznania tam od samego początku, jeszcze w trzynastu osadach, myślały o sobie, opędzały swe potrzeby własnymi środkami, gromadziły grosz na dziś i majątek na przyszłość. Nikt im tego nie wzbraniał, nikt

im niczego nie dawał, ale i niczego też nie zabierał. Inaczej w Europie, inaczej zwłaszcza we Francyi. Ten 42-milionowy budżet, który komisya obecnie zwalić pragnie, jest drobną częścią renty od ogromnego majątku, który duchowieństwo katolickie miało we Francyi. Ciążył ten ogrom na społeczeństwie, gnębił je ekonomicznie, zubożał, unieruchomiał, i słusznie też wydobyto społeczeństwo z przemocy, na którą składały się wieki kościelnego monopolu nad ludzkością. Ale przytem odrazu popełniono błąd, a z błędu wykuto monopol — dla siebie. Kiedy Włochy za dni naszych zabierały majątki kościelne i wyznaniowe, wartość ich zamieniły na kapitał renty, a rentę przeznaczyły na utrzymanie duchowieństwa, we Francyi, po zawarciu przez pierwszego konsula konkordatu z papieżem, wzięto duchowieństwo na własny etat, na pensyę, majątki zaś jego utopiono w całości dóbr państwa. Chcąc dziś znieść pensye, potrzeba ustanowić rentę: potrzeba przynajmniej na jaki dziesiątek lat wyznaczyć tymczasową, malejącą corocznie, zapomogę, dopókiby własna, mozolnie wydobywająca się energia wyznawców nie zastąpiła niezmiernie przez Wielką Rewolucyę dzisiejszym pokoleniom ułatwionej energii państwa. Taką jest słuszność. O praktyczności środka mówić będzie można dopiero po zniesieniu konkordatu. Od tego zacząć należało. Nie zaczęto; bo lękano się wojny domowej. Lęk ten, wcale poważny, zapewne uchroni duchowieństwo francuskie od projektowanej oszczędności budżetowej.

Listy z Wiednia.

18 października.

Otwarcie parlamentu.

Pewien wybitny polityk z obozu tutejszej lewicy społecznej tak określa istotę życia politycznego w Austryi: Austrya, jako państwo, jako wspólne istnienie, jest dla zamieszkujących ją ludów zarazem — nieznośną i niezbędną. Nieznośną — niewątpliwie, ze względu na przenikający ją nawskroś przyjemny amalgamat, dziwną mieszaninę feudalizmu z biurokratyzmem, który czyni z niej prawdziwą „klatkę“ — jak się znów kiedyś wyraził p. Daszyński — dla wszystkich nowowyrastających, lub silnie rozwijających się żywiołów. Ani klasy nowożytne, ani nowożytną świadomością przejęte narodowości nie mogą znaleźć zaspokojenia dla swych potrzeb w granicach starych praw cechowych, przynależności gminnej i koncesyonowanych drukarni i księgarni, uprzywilejowanych i ściśle rozgraniczonych kuryj wyborczych, wreszcie — tradycyjnych „krajów koronnych,“ między którymi niema ani jednego — z wyjątkiem takich zakątków, jak Górna Austrya, Siedmiogród — któryby nie zawierał i nie zmuszał, wbrew wszelkim ich instynktom, do wspólnego i naturalnie kłótliwego pożycia — kilku rozwijających się, żywych, rozprężonych narodowości. Z drugiej jednak strony — niemniej niezbędną jest dla wszystkich narodowości, zamieszkujących Austryę, ta forma wspólnego pożycia państwowego. Choć dużo się mówi o *felix Austria nube*, nie przypadek przecież zbił te najrozmaitsze narodowości w ciągu tylowiekowego rozwoju dziejowego w jedną całość, lecz konieczność wzajemnej niejako asekuracyi przeciw sąsiadom, a dziś na tle tej historycznej wspólności politycznej wyrosły poważne a wspólne interesy gospodarcze, które wprawdzie i przy innych formach państwowych mogłyby być zaspakajane, ale które wogóle przy zmianach koniecznych musiałyby na razie ucierpieć. Dlatego wiele jest też słuszności w drugostronnem twierdzeniu, że przy dzisiejszym układzie terytoryalnym i wogóle politycznym Europy ludy austryackie, przy całej swej wzajemnej niechęci i rywalizacyi, jedynie w granicach Austryi zaspakajać mogą swe potrzeby ekonomiczne i kulturalne. Wskutek tego, jakkolwiekbyśmy sądzili o odleglejszych celach i sympatyach stronnictw austryackich, przyznać musimy, że na razie, w bliższej przyszłości, żadne na seryo nie pragnie ani rozpadnięcia się Austryi wogóle, ani oderwania się od niej tego lub owego terytoryum, ponieważ terytoryum takie do samodzielnego życia państwowego byłoby zbyt słabem, a w żadne nowe związki wstąpić by nie mogło, czy to ze względu na czynniki, pilnujące równowagi europejskiej, czy na niechęć sąsiednich organizmów państwowych do przyswajania sobie nowych obcych ciał, czy na przysłowiu: „z deszczu pod rynnę.“ Karol Kautsky dość trafnie określił przed paru laty ten stan rzeczy, mówiąc mniej więcej coś w tym rodzaju, że Austrya jest beczką, co nie ma wprawdzie własnej obręczy, ale klepki jej trzymają się razem dzięki temu jedynie, że są wewnątrz ściśnięte i nie mają się gdzie rozsypać...

Przy takim stanie rzeczy życie polityczne Austryi musi iść zygzakiem: raz przeważa świadomość jej niezbędności, co powoduje erę wspólnej pracy i wzajemnych ustępstw, to znów na powierzchnię występuje świadomość tego, że to nieznośna klatka — i wtedy aż się stara habsburska budowla trzęsie w posadach!

Przedwakacyjna sesya parlamentarna była właśnie okresem zgody, wynikającej ze świadomości tego, że pewne bardzo ważne interesy, wspólne wszystkim narodowościom, dziś tylko w granicach istniejącej Austryi zaspokojone być mogą. Zręczność ministeryum Koerbera polegała na tem, że potrafiło ono tę świadomość wywołać, a to w ten mianowicie sposób, iż uprzytomniło walczącym partyom narodowym, do jakiego stopnia Austrya pod względem rozwoju techniczno-ekonomicznego pozostała w tyle za innymi krajami i że podjęło myśl, dawno piastowaną przez przemysłowców, mieszczaństwo czeskie i niemieckie, myśl przerznięcia państwa siecią nowych kanałów i kolei żelaznych. Skutek przeszedł na razie nadzieje, bo mieszczańskie stronnictwa zapomniały dla tej, co prawda bardzo obfitej, i niewątpliwie potrzebnej miski soczewicy nietylko o swych „nieodbitych“ hasłach narodowościowych, ale i o wymiarze zasłużonej kary na poprzednikach p. Koerbera, sprawcach 58-krotnego złamania konstytucyi. Ale też z tem większą szybkością obróciła się chorągiewka: widmo „Austryi nie do wytrzymania“ zaczęło znów natrętnie kołatać do gospodarujących milionami młodoczechów i Niemców.

Najgroźniej ukazało się im ono podczas wyborów do sejmu czeskiego, które właśnie niedawno się skończyły. Kiedy w swoim czasie staroczesi w imię wspólnych interesów wszystkich ludów austryackich zaczęli wchodzić w ugodę z Niemcami,

2)

Waryat... czy...?

Dziekan był bardzo wysoki i barczysty. Nosił się elegancko. Lat musiał mieć około pięćdziesięciu. Wysoki wzrost, ładnie zarysowane czoło, trochę zaokrąglony podbródek, bardzo piękne szafirowe oczy i regularne rysy twarzy, wszystko mówiło o wielkiej urodzie, która i dziś jeszcze niezupełnie zniknęła. Głos miał piękny, o miłem nizkiem brzmieniu. Obejście człowieka dobrze urodzonego i dobrze wychowanego.

Marcinowa nie zdawała sobie dokładnie sprawy z tych wszystkich szczegółów, lecz wrażenie ogólne odebrała takie, że kiedy weszła do kuchni i zobaczyła kluski w wazie, dawna rozpacz wróciła z większą jeszcze siłą.

— Taka wysoka osoba! Czy też on to jeść będzie?

Postanowiła dodać przynajmniej kawę ze śmietanką.

— Gdyby tak jeszcze sucharki, to byłoby nieźle.

O sucharkach próżno było marzyć, ale dzięki Pannie Przenajświętszej była ostatnia bułka z Jabłonki.

Chwyciła się w pasie, pod sercem, gdzie zwykle wtykała klucze i skamieniała...

Kluczy tam nie było!

Zimny dreszcz ją przebiegł, dech w piersiach zaparło. Nie odpinając usmolonego fartucha, nie zważając na obecność okazałego dziekana, pędem puściła się do jadalni. Klucze tkwiły w zamku... Bufet był niedomknięty! Dopadła.. otworzyła... Nie było kołacza! Ani śladu masła!

— Rany Pańskie! rany Pańskie!—jęczała, załamując ręce. Dziekan siedział przy stole odwrócony plecami—nie widział więc nic. Lecz ksiądz Jan zobaczył rozpaczliwy ruch Marcinowej.

Zarumienił się lekko i miał minę człowieka, który się do winy poczuwa. Wiedział, że burzę wytrzymać musi; tylko aby nie wybuchła przy gościu.

Stara nadludzkim wysiłkiem zapanowała jednak nad sobą. Zebrała talerze po zupie, przyniosła jajecznicę i nakrajała chleba do kawy.

Ksiądz dziekan umoczył w polewce parę razy usta i jajecznicy pokosztował przez grzeczność.

Miał minę uprzejmą i łagodną, gdy mówił, przysuwając sobie szklankę kawy ze śmietanką.

— Proboszcz dziś pości? Zbytek umartwienia. Zbytek! Wyglądacie dość wątło. Powinniście dbać więcej o cielesną powłokę, bo w silnem ciele—silna dusza

— Nie post to, księże dziekanie. Tak się jakoś złożyło, że mięsa dziś niema. Gdybym się był spodziewał takiego gościa, tobym się postarał o coś lepszego.

Dziekan patrzył uważnie wokoło.

Obrzucił wzrokiem talerze stare, serwetę pocerowaną na stole, odwieczne, ciężkie sztućce.

— Czwarta to już wizyta w nowym dekanacie. Jak dotąd zauważyłem, że mało tu dbacie o komfort i estetykę.

— Parafie ubogie—probował tłomaczyć ksiądz Jan.

— Gadanie! mój proboszczu, gadanie! — przerwał łagodnie dziekan i położył białą, ładną rękę na ramieniu gospodarza. — Trzeba się dobrze rządzić, to wszystko będzie, jak należy. Są sposoby na wszystko.

Dobroduszny, a jednocześnie filuterny uśmiech osiadł mu na ustach.

— Mam nadzieję, że uda mi się zrobić tu coś dobrego. Mam najlepsze chęci dla moich kolegów-księży. Jest przytem trochę doświadczenia! Dość się żyło z ludźmi i tuszę, że ogólnie dość mię lubiono. Będziecie mię i tutaj lubić, a może i cośkolwiek zawdzięczać z czasem!

Mówił wolno, z namysłem pewnym. Miał widocznie rozmaite projekty i plany, ale milczał o nich do czasu. Mówił za to wiele o magnackiej fortunie okolicznej rodziny książęcej, o bogactwach nagromadzonych w pałacu w jego parafii,

młodoczesi obalili ich, wysuwając właśnie na pierwszy plan niemożność zaspakajania narodowych i kulturalnych potrzeb w granicach dzisiejszego ustroju Austryi. Teraz, kiedy młodoczesi, z kolei ulegając konieczności naturalnej, nieuniknionej dla tych wszystkich, którzy nie decydują się na zasadniczą zmianę myśli politycznej, stają się ugodowcami i odkładają, choć na pewien czas, żądanie prawa państwowego korony św. Wacława, — nauczone ich przykładem nowe żywioły drobnomieszczańskie i agrarne, zaczynają ich z kolei prelicytowywać. Wybory sejmowe były dla młodoczechów poważnem ostrzeżeniem, że znaczna część warstw ludowych zaczyna odwracać się od nich: wprowadziły one do sejmu dwudziestu kilku agraryuszów chłopskich i radykałów narodowych, którzy bardzo ostro napadają na wszechwładne dotychczas stronnictwo czeskie, jedni — za złagodzenie taktyki w sprawach narodowościowych, drudzy — za popieranie interesów mieszczańsko-przemysłowych, co, jakeśmy widzieli, w Austryi jedno z drugiem jest związane. Podobnie najsilniejsza dotychczas w Czechach niemiecka partya „ludowa," która ostrością swoich żądań podkopała niegdyś zwyczajnych „postępowców," dziś z kolei prelicytowana została przez demagogów bez żadnych skrupułów — „wszechniemców." I dla niej te wybory były wysoce nieprzyjemnem ostrzeżeniem, iż masy wyborców bardziej pamiętają o tem, że Austrya jest nieznośną, niż — że niezbędną. I Niemcy więc i Czesi powracają na ławy parlamentu w usposobieniu rozgoryczonem i wojowniczem, z pretensyą w duszy do p. Koerbera za to, że ich skusił do chwilowej zgody. „Ludowcy" niemieccy demonstrują przeciw rządowi, cofając swego przedstawiciela, Pradego, ze stanowiska pierwszego wiceprezydenta, na którem nie może, jak mówią, „dość zdziałać dla niemczyzny"; młodoczesi demonstrują, żądając tego fotelu pierwszego wiceprezydenta dla siebie (dotąd mieli fotel drugi) i uchwalając groźną rezolucyę klubową przeciw Koerberowi; a w sejmie praskim wszystkie stronnictwa czeskie, od staroczechów aż do t. zw. „narodowych socyalistów" (z socyalizmem zresztą nic, prócz nazwy, niemających wspólnego), łączą się w jeden klub „prawno-państwowy," klub—niepodległości, walki z Niemcami. I w parlamencie też wiedeńskim pachnie — a przynajmniej przed pierwszem posiedzeniem mocno pachniało prochem...

Pierwsze jednak posiedzenie przeszło spokojnie i nawet wzbudziło nadzieję, że obstrukcya nie powróci, że jeszcze przez jakiś czas panować będzie miła zgoda i dokonywać się przykładna praca. Dr. von Koerber wygłosił mowę pragramową, która jest nowym dowodem jego zręczności. I tym razem nie uląkł się groźnych parskań smoków wszechniemieckiego i czesko-państwowego, tylko znowu pokazał im — soczewicę. Na wiosnę, kiedy zgodę w parlamencie osiągnięto za cenę uchwalenia miliarda na środki komunikacyi, pytano szyderczo, skąd p. Koerber weźmie drugi miliard na ten sam cel w jesieni. Prezes ministrów wyznaje jednak otwarcie, że już więcej miliardów niema: co najwyżej, dla okazania swych dobrych chęci, wnosi 3 miliony na dotkniętych klęskami żywiołowemi w rożnych krajach. Ale ma inne argumenty na poparcie „niezbędności" Austryi, konieczności zgodnego działania wszystkich jej ludów — argumenty również bardzo poważne i ekonomicznej natury. Oto przed parlamentem i rządem austryackim stoją teraz doniosłe zadania: odnowienie ugody z Węgrami, szczególnie tej jej części, która ustanawia wspólno austryacko - węgierskie terytoryum celne i politykę celną, a dalej — na zasadzie tej wspólności — układy w celu zawarcia traktatów handlowych z innemi państwami. Dotychczas austryacka połowa monarchii była stale wyzyskiwana przez węgierską— nie tak może wyraźnie, ale zupełnie przejrzyście mówi p. Koerber; brak należycie działającego parlamentu, któryby popierał ministrów w ich układach z Węgrami, tylko sprzyjał temu wyzyskowi, który odbijał się na wszystkich w formie zwiększonych ciężarów podatkowych. Teraz trzeba się jeszcze bronić przeciw zamachom junkrów i przemysłowych feodałów pruskich, które znalazły wyraz w osławionym projekcie taryfy celnej. W imię tych palących potrzeb p. Koerber prosi stronnictwa, aby odłożyły jeszcze na pewien czas waśniące kwestye narodowościowe, w których sam obiecuje ścisłą neutralność, i pozwoliły parlamentowi działać prawidłowo, tj. na początek— uchwalić budżet. Byłoby to co prawda dla rządu nowa powodzenie po czterech latach bez budżetu — ale zdaje się, że się uda. Jak kusząco mówi p. Koerber o swym wstręcie do używania § 14-go! A przytem obiecuje wszystkim stronnictwom cały szereg reform, jeśli parlament będzie czynny: kapitalistom — reformę prawa o towarzystwach akcyjnych, drobnemu mieszczaństwu uwstecznienie prawa o rzemiosłach, agraryuszom galicyjskim—ograniczenie emigracyi; ale na pierwszym planie mają stanąć: prawo przeciw pijaństwu, zniesienie zakazu kolportażu i innych ograniczeń swobody prasy, i dwa prawa „socyalno-polityczne": o ulgach przy budowaniu tanich a zdrowych mieszkań robotniczych oraz ubezpieczenie na wypadek choroby, niezdolności do pracy i starości; tego ostatniego warunku domagają się od kilku miesięcy setki tysięcy podpisów na petycyach ludowych.

Pan Koerber jest spadkobiercą tradycyi liberalno - centralistyczno - niemieckiej w rządzeniu Austryą; pomimo wszystko, co jej słusznie zarzucić można, tradycya ta, a więc i program p. Koerbera, zawiera w sobie pewne żywioły, bądź co bądź postępowo-mieszczańskie, choć trochę antyfeodalne, choć trochę przystosowane do wymagań ducha czasu. Dlatego p. Koerber, w gruncie rzeczy, bynajmniej nie cieszy się sympatyą żywiołów całkiem wrogich prądom nowożytnym, jak klerykali niemieccy, feodałowie czescy, szlachta polska; a że jest ministrem-niemcem, więc i młodoczesi wolą nawet z feodałami iść przeciw niemu. Te żywioły wolałyby utworzyć „większość prawicy," mieć za prezesa ministrów—nowego jakiegoś Badeniego lub Thuna. Nieuniknione walki stronnictw doprowadziłyby wtedy do absolutyzmu, a przez absolutyzm do federalizmu, naturalnie antydemokratycznie pojętego: — program czeskiego magnata Lobkowitza. Przez naturalną reakcyę żywioły społeczno-postępowe, idące daleko w swych ideałach, zdają się czasami wierzyć w to, że śmiałe przeprowadzenie zasad liberalno-postępowych, byle tylko aż do ich najdalszych konsekwencyj, aż do głosowania równego i powszechnego przy wyborach do parlamentu centralnego, „uzdrowi Austryę," zgasi waśń narodowościową; wyrzucają panu Koerberowi, że nie umie chcieć, że nie decyduje się na następstwa w walce z feodalizmem. Są jednak i tacy, którzy nie wierzą w możność normalnego przejścia od niemiecko-mieszczańskiego liberalizmu, do federalizmu demokratycznego pogodzonych narodowości,

---

o wspaniałych gobelinach, kolekcyi starożytności, obrazach dawnych mistrzów.

Dziwił się, że właściciele tak rzadko tu przebywają. Robiło mu widoczną przyjemność opowiadanie o tych wspaniałościach. Zachwycał się rzeczami pięknemi, które oglądał.

Ksiądz Jan słuchał z uszanowaniem, ale bez cienia zaciekawienia, lub przejęcia się. Słuchał o tem tak, jakby słuchał bajki o skarbach królewny zaklętej. Mogły być najwspanialsze, ale gdy nie są do zdobycia, gdy nie mógł zrobić z nich użytku dla tych swoich nędzarzy, to i co mu po nich?

Dziekan mówił cały czas sam prawie. Ksiądz Jan odpowiadał tylko na zapytania, skierowane wprost do niego. Potem znów milczał.

Po kawie, której dziekan wypił dwie szklanki, poszli do do kościoła. Był on dość stary, ale ładny, wzorowo i czysto utrzymany. Ksiądz Jan niewiele widział w życiu pięknych gmachów, więc pysznił się w głębi duszy swym budynkiem. Zdziwił się też niepomału, gdy dziekan powiedział zaraz przy wyjściu z kościoła:

— Ubożuchny! bardzo ubożuchny!

— Parafia mała—odezwało się nieśmiało obok niego.

— O, to nic nie znaczy, mój proboszczu! To nic nie znaczy!

I znów miał ten sam zagadkowy wyraz twarzy, gdy w milczeniu wracali do domu.

Zastali już tu wszystko uprzątnięte po obiedzie. Dziekan pobył jeszcze jakiś kwandransik i wyjechał na noc do sąsiedniej parafii. Pierwszy raz robił objazd dekanatu i dużo miał drogi przed sobą.

Ksiądz Jan wyprowadził gościa na ganek, do powozu podsadził i z pogodną twarzą wracał do domu, gdy w progu spotkał Marcinową.

Trzeba było zebrać odwagę i przyjąć potyczkę.

Pokazało się jednakże, że przeciwnik nie żywił wrogich zamiarów.

— A dziekan wypił całe dwie szklanicel — i oblicze gospodyni jaśniało jak słońce.

— A wypił — przytakiwał proboszcz. — Już to Marcinowa robi kawę doskonałą.

— Pewnie, że doskonałą! Tylko cóż warta kawa bez bułki. Oj proboszczu! proboszczu! Czy godziło się takiego figla wypłatać?

W głosie jej nie było już złości, tylko serdeczny żal.

— Moja Marcinowo! i cóż się stało złego? Obiad był smaczny, chleb doskonały, a chorzy chleba i klusek jeść nie mogą.

Patrzył przytem w twarz gospodyni swemi łagodnemi czarnemi oczami, a ona pod tym wzrokiem ucichła nagle i, wchodząc do kuchni, ruszyła ramionami.

— Ja zawsze mówię—rzekła — że to albo święty, albo waryat—orzekła.

W tydzień potem ksiądz Jan wybrał się z rewizytą i uszanowaniem do dziekana.

Zaprzęgu własnego nie miał, pojechał więc końmi i bryczką szwagra swego z Jabłonki.

W nowej sutannie, w wyczyszczonych butach, z podczesaną do góry gęstwą czarnych włosów wyglądał wcale przyzwoicie i zdawał się nawet mniej mizernym, niż zwykle.

Nie był w Kurjańcu od śmierci księdza Marka, to też zdziwił się niepomału, gdy na miejscu w ziemię wrosłej starej plebanii, zobaczył dom duży, świeżutki, wykończony z całą elegancyą. Szykowne sztachety okalały duży dziedziniec. Jesienne kwiaty barwnym kobiercem rozesłały się wzdłuż trawnika. Opodal stało kilka nowych także, porządnych budynków gospodarskich. Spory plac pomiędzy plebanią i kościołem, na którym niegdyś żerowały wszystkie żydowskie gęsi, okopano rowem i pocięto w rozmaitych kierunkach geometrycznie prostemi liniami. Na placu, oprócz tych kilkunastu starych lip, które dawniej podskubywały od dołu kozy z miasteczka, zasadzono dużo drzew owocowych i krzewów ozdobnych.

Zmian było tyle na każdym kroku, że ksiądz Jan nie zdziwił się już nawet, gdy przy wejściu okrycie zdjął mu służący, ubrany tak jak szwagier księdza od największego chyba dzwonu. (D. n.)

którzy otwarcie oświadczają, że „*Austryi* demokratycznej — nie będzie nigdy...“ I zdaje się, że ci są — albo przynajmniej stają się większością.

Tydzień polityczny. D. 17 b. m. prezydent Vetter zagaił Izbę deputowanych w Wiedniu, po letnich jej wczasach. Minister skarbu Boehm-Bawerk dał obraz skarbu i skarbowości bieżącej. Rok niepomyślny, ale siła podatkowa państwa wciąż rosnąca, nieuchronne opodatkowanie jazdy koleją, podniesiony nakład na oświatę (4 mil. kor.), rolnictwo (4 mil.), na różne melioracye, zasiłki dla krajów koronnych (44 mil.), a z tego wszystkiego budżet ze sztuczną równowagą dzięki tylko zyskowi z przetopienia monety — oto treść obrazu. Prezes min. Koerber wskazał jako najpilniejsze ugodzenie się z Węgrami o nowe pożycie ekonomiczne; przemawiał stanowczo, niepochlebnie dla drugiej połowy monarchii. Nie opuściła go stanowczość w słowie i przy traktatach handlowych z obcemi mocarstwami: wobec Niemiec rząd będzie strzegł interesów Austryi, wobec wszystkich wogóle przestanie grać rolę potulnego człowieka. Przedlitawia otrzyma ubezpieczenie robotników na starość, będzie miała nowe prawo prasowe i kilka jeszcze innych. Budżet trzeba uchwalić prędko, przed Bożem Narodzeniem; nieuchwalenie nie będzie objawem nieufności, ale odmówienie tymczasowego pokrycia zaświadczy o braku zaufania do rządu. Nawiązując na traktaty handlowe, Forzt wniósł żądanie retorsyi przeciwko nowej taryfie celnej niemieckiej. Nazajutrz rozprawiano nad wnioskiem. Generalny mówca Kozłowski szczegółowo roztaczał krzywdy Austryi; mówił z siłą, co się rzadko zdarza Polakom w Wiedniu. Kubik wniósł interpelacyę z powodu zagajenia rady powiatowej w Białej po niemiecku. Po zrzeczeniu się wiceprezydentury przez Pradego, Izba d. 18 b. m. wybrała Kaisera, wroga gimnazyum cieszyńskiego. Mizerny to był wybór; na 425 posłów w Izbie tylko 120 wyniosło Kaisera na fotel, Koło dało białe kartki, wszystkich białych było 120. Mowę dziękczynną odprawił wybraniec Niemców przed pustemi w połowie ławkami. Pozwolono się Niemcom nacieszyć. Nie chciano odrazu zadzierać.

W Izbie austryackiej zasiada: 61 z Koła polskiego, 4 ze stronnictwa ludowego Galicyi, 1 Polak z Bukowiny (66); sześciu Rusinów radykalnych (6); 53 młodoczechów, 19 zach. z wiel. własn. czeskiej, 5 agraryuszów, 2 zachowawców-ludowców i 5 socyalistów czeskich (84); 16 członków centrum słowiańskiego (połudn. Słowianie i umiarkowani Rusini), 15 klubowców chorwacko-słoweńskich i 5 postępowców serbsko-chorwackich (36) — razem 192 z krajów słowiańskich. Niemcy liczą w swem łonie: 31 środkowców, 27 chrześcian-polityków, 30 wiernokonstytucyjnych właść. ziem., 4 agraryuszów, 31 postępowców, 47 ludowców, 20 wszechniemców i 10 luzaków („dzikich“) — razem 200. Z innych narodowości: 18 Włochów, 5 Rumunów — razem 23. Ogółem w grupach narodowych 415. Po za schematyzmem narodowości stoi 10 socyalistów (jest ich z Czechami 15).

Botha przedarł się przez kraj Swazich na wschodzie Natalu do Transwalu nad Pongolę. Siły jego, rozproszone, może się z obławy angielskiej szczęśliwie jak on sam wydobędą. Spodziewać się go można nad górnym Vaalem. W Kraju Przylądka powstanie trwa ciągle, rozlewając się ku Zachodowi. Zajmuje ono uwagę, odciąga, ale jest bez siły i powstańczej nawet przyszłości. Kitchener sporządził teraz znowu listę 12-tu wygnanych. Jednego tygodnia wiesza i rozstrzeliwa, drugiego wypędza — dla rozmaitości. Kawaler ten ma grube nerwy: zaprawił je na trupie ostatniego Mahdiego Sudanu, zaprawił na biednych tłumach pod Omdurmanem, które zmiatał działami jeszcze wtedy, gdy je karabiny już rozpędziły. Anglik kroczący dumnie na czele cywilizacyi.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z NAD WARTY I ODRY.

Jakkolwiek do wyborów parlamentarnych pozostało jeszcze dwa lata, to jednak prasa poznańska i górnośląska już dziś żywo zajmuje się sprawą przyszłych kandydatur, zwłaszcza górnośląskich. Bodaj czy nie w większym stopniu aniżeli Polaków zajmuje sprawa przyszłych kandydatur na Górnym Śląsku Niemców-centrowców. Czują oni doskonale, że z każdym rokiem, z każdym niemal miesiącem, położenie ich na Górnym Śląsku staje się trudniejszem. Świadomość narodowa ludu polskiego wzrasta ustawicznie, przyśpieszana coraz to nowemi prześladowaniami i szykanami ze strony rządu i hakatystów. Pragną odwlec w jak najdalszą przyszłość zupełną utratę mandatów górno-śląskich, prasa centrowa kierunku bardziej dyplomatycznego stara się wytłomaczyć górno-ślązakom, że ustawa wyborcza stronnictwa centrum zabezpiecza wprost idealne równouprawnienie obydwu narodowościom. Na papierze coś w rodzaju równouprawnienia rzeczywiście istnieje, ale w praktyce rzecz wygląda całkiem inaczej, ponieważ księża-germanizatorowie, zasiadający w komitetach powiatowych postępują wprost terorystycznie z członkami komitetów, stającymi w obronie interesów ludności polskiej. I biada księdzu—prezesowi komitetu, któryby poważył się przychylić do zdania wyborców polskich i poprzeć kandydaturę Polaka. Znana jest sprawa ks. Zdralka, który, będąc prezesem komitetu wyborczego na powiat Opolski, uznał słuszność domagań się wyborców polskich postawienia kandydatury majora Szmuli—Polaka Za taką zbrodnię ks. Zdralek, nie niemający wspólnego z ruchem polskim, był ukarany tem, że nie dostał probostwa w Opolu, albowiem regencya królewska założyła protest przeciwko jego kandydaturze.

Centrowcy mają nadzieję, że dla kandydatur centrowych pomyślny wynik najbliższych wyborów oprze się na trwałości uczuć religijnych ludności polskiej i na jej przywiązaniu do duchowieństwa. Ale te nadzieje bardzo łatwo mogą zawieść, gdyż lud, ustawicznie dręczony przez księży-germanizatorów, powoli zaczyna oddzielać sprawy religii od spraw zagranicznych. Klerykalny *Kuryer Poznański* daje centrowcom następującą przestrogę, opartą na znajomości tej ewolucyi, jaką przebywa obecnie ludność polska na Górnym Śląsku: „Że na Górnym Śląsku dziś ruch narodowy polski rośnie nader szybko, o tem wie również dobrze *Schlesische Volkszeitung* jak i my, a że właśnie namiętne uciskanie go ze strony niektórych katolików niemieckich, księży lub świeckich, może pchnąć nieszczęśliwy lud nasz, w objęcia socyalnej demokracyi, z tego chyba także łatwo sobie zda sprawę każdy, kto patrzy na rzeczy bez uprzedzenia. Socyaliści zyskują z roku na rok głosy na Górnym Śląsku; a głosy te są właśnie polskimi. W samym okręgu wyborczym hr. Ballestrema głosowało na socyalistę przeszło 2,300 robotników polskich, katolickich. W innych okręgach przeszło 25,000 robotników polskich głosowało na socyalistę. Z roku na rok, z miesiąca na miesiąc rośnie niezadowolenie żywiołu polskiego na całym wschodnim szlaku państwa pruskiego. Niema ani u Polaków ani u Niemców tej siły, która powstrzymałaby żywiołowy ruch narodowy, rozbudzony hakatą i ustawodawstwem rządowem, a podtrzymywany krótkowidzącą polityką wielu katolików niemieckich... W znacznej części od katolików niemieckich zależy, jakim będzie charakter tego ruchu narodowego w przyszłości. Dziś on jeszcze jest katolickim. Dziś jeszcze lud widzi różnicę pomiędzy księdzem germanizatorem, a ideą katolicką. Lecz wiele, bardzo wiele oznak wskazuje każdemu, kto zna położenie, że pod tym względem niejedno niebezpieczeństwo grozi. Tylko bardzo wyrobiony umysł zniesie kontrast pomiędzy reprezentacyą religii, a religią samą. Gdy nasz polski lud na Śląsku, w miarę zaostrzania się stosunków pomiędzy centrum a Polakami zobaczy, że wszystko co przedstawia dla niego zewnętrznie katolicyzm, a zatem ksiądz, dalej poseł centrowiec, gazety niemiecko-katolickie itd., że, powtarzam, wszystko to stoi w jawnej i otwartej sprzeczności z jego uprawnioną dążnością rozwoju narodowego, wtedy powstanie w nim wielkie zniechęcenie do zasad katolickich, które przedstawiają te czynniki urzędowe na Śląsku. Nie łudźmy, się nie owijajmy rzeczy w bawełnę, bo nikomu tem nie pomożemy. Głos przestrogi, skądkolwiek on pochodzi, jest pożytecznym i potrzebnym.“

Należy podnieść, że duchowieństwo katolickie — i to nietylko na Górnym Śląsku — jak gdyby naumyślnie stara się o przyśpieszenie tego procesu, którym klerykalny *Kuryer Poznański* straszy Niemców centrowców. Oto np. świeżo narobiła wielkiego hałasu sprawa nabożeństwa niemieckiego w nowo-poświęconym kościele, w parafii św. Łazarza w Poznaniu. Św. Łazarz wraz z Góreczynem jest parafią czysto polską, ponieważ na 6000 posiada Niemców-katolików zaledwie 200. Otóż podczas poświęcenia nowego kościoła do szczuplutkiej garstki parafian-Niemców duchowieństwo aż trzy razy przemawiało po niemiecku, kiedy do Polaków tylko raz jeden. Parafianie-Polacy byli tem naturalnie bardzo niemile dotknięci. Następnej niedzieli ksiądz celebrujący zaintonował przed procesyą zamiast pieśni polskiej—niemiecką. Tłum nabożnych milczał, wtórowało zaś księdzu (Polakowi *nb.*) ze sześciu nauczycieli-Niemców. Polacy, oburzeni takiem postępowaniem księdza, nie poszli za procesyą. Po skończonej mszy rozpoczęło się kazanie, również niemieckie. Ksiądz, wszedłszy na kazalnicę, zapowiedział po polsku, że ci, którzy nie rozumieją po niemiecku, mają wyjść z kościoła, aby mu podczas kazania nie przeszkadzali. Zgromadzeni poczęli szemrać i opuścili kościół, gdzie pozostało kilkudziesięciu Niemców i tyluż ciekawych Polaków. Jak donosi *Orędownik*, niektórzy Niemcy zachowywali się tak dziwnie, że można było podejrzewać czy są katolikami. Byli to prawdopodobnie protestanci „statyści,“ sprowadzeni specyalnie dla odgrywania roli Niemców. Tegoż samego dnia, po nieszporach ksiądz rozpoczął różaniec — także po niemiecku. Widocznie w kościele nie było wcale Niemców, bo na modlitwy niemieckie nikt mu nie odpowiadał. Dopiero kiedy ksiądz odmówił sam po niemiecku kilka „Zdrowaś Maryo,“ lud zebrany zaczął odpowiadać po polsku i potem szedł już różaniec po polsku, zaśpiewano pieśni polskie i wszystko do końca odbywało się po polsku.

Łatwo można sobie wyobrazić, jakie rozgoryczenie panuje z powodu tych zakusów germanizatorskich w całym Poznaniu. Powaga arcybiskupa Stablewskiego, odgrywającego bardzo smutną rolę wobec społeczeństwa polskiego, jest na wielki szwank narażona, co może mieć bardzo dobroczynne skutki dla tak przesiąkniętego klerykalizmem społeczeństwa, jak poznańskie. Co prawda, w *Dzienniku Poznańskim* ukazała się notatka, zwalająca

całą winę na miejscowego proboszcza, ale trudno przypuścić wobec znanej karności kleru katolickiego, ażeby proboszcz odważył się na taki krok bez pozwolenia wyższej swej władzy.

Położenie księży polskich lub takich, którzy nie chcą otwarcie służyć germanizacyi, jest obecnie bardzo trudne. Oto np. w tych dniach regencya kwidzyńska i gdańska wydały do nauczycieli w Prusach Zachodnich poufny okólnik, polecający śledzić księży polskich i donosić, czy nie biorą udziału w agitacyi polskiej — tj. czy nie uczą dzieci po polsku, czy nie rozdają polskich elementarzy, gazet itd. W ten sposób nauczyciele mają się stać poprostu szpiegami wobec księży, co pozbawi ich prawie zupełnie swobody ruchów i jeszcze bardziej zmusi do odsunięcia się od spraw publicznych. Jednocześnie więc i klerykalizm w polityce poznańskiej straci na swej sile.

Że regencye udają się do nauczycieli, domagając się od nich pomocy w akcyi germanizatorskiej, nic w tem niema dziwnego, gdyż właśnie nauczyciele przedewszystkiem mają zadanie niemczyć polskie dzieci, nauka zaś w szkołach dzielnic polskich Prus odgrywa podrzędną rolę. Zresztą trudno mówić poważnie o jakiejś nauce w szkołach, gdzie 85% nauczycieli nie rozumie języka, którym wyłącznie posługują się dzieci. Chodzi tu więc przedewszystkiem o wszczepienie dzieciom polskim kilkudziesięciu frazesów niemieckich, ażeby się wydawało, że umieją po niemiecku. Po za tem cała nauka odbywa się mechanicznie za pomocą wykuwania ustępów z podręczników niemieckich. Po paru latach, a nawet i wcześniej cała ta mądrość idzie w zapomnienie, o ile dany osobnik pozostaje w otoczeniu polskiem.

Niedawno do jednej ze szkółek w Poznańskiem, przybył pewien inspektor powiatowy, który zrobił spostrzeżenie, że chłopcy lepiej władają językiem niemieckim, aniżeli dziewczęta. Inspektor zdziwił się i zapytał, jaka jest tego przyczyna. Nauczyciel objaśnił, że stara się przedewszystkiem o to, ażeby chłopców nauczyć po niemiecku, ponieważ tego języka będą potrzebowali w późniejszem życiu; jako żołnierze lub obieżysasi. Na to inspektor oświadczył, że właśnie dziewczęta należy przedewszystkiem germanizować, gdyż one zostaną matkami i mają obowiązek mówić po niemiecku z własnemi dziećmi.

W liście poprzednim donosiłem o teatrze germanizatorskim, założonym na Górnym Śląsku. Repertuar jego zawierał pomiędzy innemi sztukami także „Wilhelma Tella“ Schillera. Otóż kurator teatru, pierwszy burmistrz Królewskiej Huty, z wielkiem oburzeniem zwrócił uwagę dyrektora teatru na niewłaściwość wystawiania sztuki, która mogłaby podziałać wprost podburzająco na ludność polską. Nawet najsławniejsi poeci nie są dosyć prawomyślni na punkcie „agitacyi wielkopolskiej,“ w oczach hakatystów, którzy w zaciekłości swej bardzo często okrywają się śmiesznością.

Oto np. katolicko-polskie kasyno w Królewskiej Hucie postanowiło urządzić poświęcenie sztandaru swego, z koncertem, teatrem i tańcami. Policya udzieliła pozwolenia na koncert, teatr i tańce, ale zabroniła udziału kobiet w uroczystości. Dopiero naczelny prezydent Śląska musiał pouczać zbyt gorliwą policyę, że przecież trudno wymagać, ażeby tańce odbywały się bez kobiet. Albo czyż nie jest śmiesznem prześladowanie Polaków, posiadających nazwisko niemieckie, za pisownię tych nazwisk? Niedawno niejaki dr. Szuman musiał na podstawie wielu dokumentów familijnych udowadniać, że i ojciec jego, i dziad, i pradziad zawsze nazywali się Szumanami, nie zaś „Schumann'ami.“ Ostatecznie wygrał proces.

Widocznie państwo pruskie nie jest zbyt potężne, kiedy mu może zagrażać wyrzucenie z nazwiska jednego poddanego paru liter. Zresztą „powaga i znaczenie“ Rzeszy niemieckiej co chwila są na szwank narażane, specyalnie z powodu adresów polskich. Jak wiadomo, zarząd poczty poznańskiej ustanowił osobną „Uebersetzungstelle“ dla listów, zaopatrzonych w adresy polskie. Instytucya ta jest jak gdyby wyłącznie wynaleziona w celu szerzenia śród Polaków nienawiści do Prusaków, gdyż nie chodzi tu bynajmniej o tłomaczenie każdej poczcie w Poznańskiem całkiem zrozumiałych wyrazów w rodzaju „wielmożny pan,“ „wielmożny ksiądz“ itd., ale jedynie o szykanowanie Polaków, o kłucie ich szpilkami. Listonoszom zabroniono pod karą dość znaczną doręczania listów, adresowanych po polsku, kazano im zawsze odnosić je na „Uebersetzungstelle.“ Tam zaś listy leżą częstokroć po kilka dni, co nieraz daje się bardzo dotkliwie odczuć przemysłowcom. Wobec tego nikogo nie zadziwi fakt, że „Uebersetzungstelle“ poczęła otrzymywać do tłomaczenia adresy z niezbyt pochlebnymi dla siebie dopiskami. Otóż to, według *Tageblattu* poznańskiego, „naraża na szwank powagę i znaczenie Rzeszy niemieckiej.“ Należy więc zabronić wszelkich adresów polskich — domaga się organ hakatystów.

W tych dniach otwarto w Królewskiej Hucie na Górnym Śląsku nowy bank polski — siódmy już z rzędu w tej dzielnicy.

Pośrednik.

Z PODRÓŻY PO GALICYI.

III.

Podajemy kilka cyfr o stratach w gospodarstwie rolnem. W r. 1897 padło wskutek zarazy kopyt i pyska w całej Austryi 3,164 sztuk bydła, w Galicyi — 1,528; wskutek karbunkułu 1,459, w Galicyi — 616; koni padło wskutek karbunkułu 308, w Galicyi — 164, wskutek nosacizny 513, w Galicyi — 201. Świadczy to, jak w tym kraju rolniczym, rządzonym przez ludzi, których zawodem jest gospodarstwo rolne, stoi sprawa policyi weterynaryjnej.

Nizki stan rolnictwa galicyjskiego stanowi bezwarunkowo wynik właśnie tego, że Galicya jest krajem przeważnie rolniczym. Posiadłość włościańska zajmuje trzy piąte obszaru, a średni rozmiar zagrody włościańskiej obejmuje zaledwie 4,4 morgów. Te gospodarstwa mogłyby istnieć tylko przy gospodarce intensywnej, przy uprawie ogrodów, sadów, przy hodowli krów celem sprzedaży mleka; taka gospodarka zaś jest niemożliwą, dopóki ludność miast nie stanie się spożywcą, dopóki nie rozwinie się przemysł. Własność zaś większa składa się w Galicyi z latyfundyów w pierwszej linii. Zajmują one 2,657,786 morgów, połowę obszaru t. zw. „własności tabularnej,“ tj. obszaru nienależącego do włościan. A cały ten obszar ziemi jest w ręku 161 właścicieli. Gospodarstwo tych latyfundyów opiera się przedewszystkiem na gospodarstwie leśnem, rolnictwo — z nielicznymi wyjątkami — prowadzi się tu ekstensywnie. Gospodarstwo zaś leśne polega do dziś dnia na — trzebieniu lasów. Magnatom galicyjskim z tem dobrze, dla kraju gospodarka ich jest klęską. Pozostają gospodarstwa t. zw. średnie, które wszędzie prawie są czynnikiem postępu rolniczego. W Galicyi jednakże one giną, grozi im zanik zupełny! Giną zaś dlatego, że w kraju przeważnie rolniczym właściciele tych dóbr nie mogą znaleźć kredytu, któryby im umożliwił prowadzenie gospodarstwa intensywnego, że brak im tak samo jak własności włościańskiej warunków do gospodarki intensywnej.

Jednym np. z potężnych środków dźwignięcia gospodarstwa jest, jak wiadomo, uprawa buraków. Pozwala ona na znaczne wkłady w gospodarstwie; staranna uprawa, niezbędna dla buraka, która opłaca się przy wysokiej jego cenie, wychodzi na dobre plonom zboża, zasiewanym na tych gruntach w porządku płodozmianu. Rozwój plantacyj buraczanych jest jedną z najważniejszych przyczyn kwitnącego stanu rolnictwa w Czechach. Jakże stoi sprawa w Galicyi? Gleba dla buraków w dzielnicy wschodniej jest wprost świetna, o lepszej marzyć nie można. Tymczasem na 47,185,000 centnarów buraków, wyhodowanych w Austryi 1898 r., Galicya dostarczyła 612,000, Czechy zaś 3,266,000, Morawy 11,684,000 c.; obszar zajęty pod uprawę buraków stanowi w Czechach 5,35% na Morawach 4,57%, w Galicyi—0,08%. Cukrowni było w Austryi 1897/98 r. 208, a z tego w Galicyi — 2: wytworzono cukru 6,451,000 centnarów, w Galicyi — 12,781. Rozwój cukrownictwa był, jak wiadomo, uwarunkowany wszędzie bezpośrednim wpływem polityki. Gdzież byli panowie z Koła polskiego, gdy ta polityka się robiła? Dla „idei państwowej“ ci panowie zgodzili się na wyrobienie stosunków takich, że cukier w Austryi jest opodatkowany wyżej, niż gdziekolwiek, lecz nie umieli ci „ziemianie“ dopilnować interesów rolnictwa swego kraju. Jedną z dźwigni rolnictwa intensywnego może być także uprawa chmielu. Galicya ma i tu świetne warunki klimatyczne, lecz podczas gdy Czechy wytwarzają go 45,700 centnarów, Galicya — 5,400. Jedna tylko kwitnie gałąź przemysłu rolniczego w Galicyi — wyrób gorzałki: to przemysł narodowy! Z 1,056 gorzelni w Austryi na Galicyę wypada więcej niż połowa — 612, z 1,373,000,000 litrów wyprodukowanej gorzałki na Galicyę przypada 492,000,000, z ogólu produkcyi wódki—35,85%. Tu walczyli panowie magnaci, jak lwy, o „prawa krajowe,“ o prawo rozpajania chłopów na zasadzie dzikiej, barbarzyńskiej instytucyi propinacyi.

Czem żyją miasta galicyjskie? Wyznam, że na to pytanie dotąd odpowiedzieć nie umiem, lecz obawiam się, że dokładnej odpowiedzi nie mogą dać nawet najwytrawniejsi znawcy Galicyi. Ów szary tłum żydowski po miastach galicyjskich pod tym względem nasuwa zagadek co niemiara. Statystyka wylicza tych ludzi w dziale trudniących się handlem, ale jak może wyżyć z handlu w kraju tak biednym takie mnóstwo ludzi, to już tajemnica. A jeszcze większa tajemnica, jak kramik, w którym cały obrót dzienny rzadko wynosi reńskiego, może dać utrzymanie całej licznej rodzinie? Dotąd darmo silę się na odpowiedź. Statystyka zawodowa z r. 1890 podaje dla Galicyi takie cyfry: z rolnictwa żyje 5,113,370 ludzi; samodzielnych gospodarzy rolnych jest 842,275, oficyalistów 6,677, robotników 2,346,192, służby domowej u właścicieli ziemskich 14,941, członków rodzin nie zatrudnionych 1,903,285. Z przemysłu i rękodzieł żyje 611,738 ludzi, a mianowicie: samodzielnych przedsiebiorców 91,508, oficyalistów 3,259, robotników i wyrobników 143,766, na służbie domowej u przedsiebiorców 30,066, członkowie rodzin niezatrudnion. 343,139. Z handlu i przewozu utrzymuje się 524,397 ludzi, a mianowicie: kupców samodzielnych 65,583, subjektów 10,463, robotników i wyrobników 113,937, na służbie domowej 37,614, członków rodzin 297,100. Ostatnia kategorya obejmuje urzędników, wojskowych i tak zwane „zawody wyzwolone“: tu liczono zatrudnionych 358,011, służby domowej 33,125, członków rodzin 139,239. Obliczywszy wszystkich ludzi zatrudnionych w tych grupach zawodowych (prócz służby domowej), otrzymamy, że na 10,000 takich ludzi trudni się rolnictwem 8,358, przemysłem 628, handlem 499, służ[...]

rzędową lub zawodami wyzwolonymi 487; podczas gdy w Austryi cyfry przedstawiają się tak: rolnictwo 6,421, przemysł 2,123, handel 623, urzędy itd. 1,013. Jeżeli zestawimy liczbę ludzi zatrudnionych w rolnictwie i przemyśle, to okaże się, że na 1,000 pierwszych wypada drugich 751, gdy tymczasem w Czechach cyfra ta wyniesie 742,2, w Morawach 491,5, w Bukowinie nawet 90. Liczba zatrudnionych handlem jest w Galicyi względnie niższą, lecz przy istniejących warunkach śmiało twierdzić można, że i ta liczba jeszcze jest zbyt wysoką, gdyż stanowczo forma handlu, jaką zna Galicya, handlu drobnego, przekupnictwa raczej, staje się utratą sił dla kraju.

A teraz przyjrzyjmy się skali zamożności ludności galicyjskiej. Pojęcie o niej, jakkolwiek nie matematycznie ścisłe, przecież pozwalające na porównania z innymi krajami, daje wykaz poboru bezpośredniego podatku dochodowego. Wolni są od niego ci wszyscy, których dochody nie dosięgają 1,200 koron. Opłacało zaś podatek ten 1899 r. w Galicyi 61,632 osób, w całej Austryi 754,643. Jeżeli te cyfry zestawimy z liczbami spisu zawodowego, otrzymamy, że w Galicyi na 1,000 zarobkujących opłaca podatek osobisty dochodowy 16,08, w Austryi zaś 55,68. Jeżeli zaś weźmiemy pod uwagę poszczególne klasy podatkowe, to okaże się, że na 100,000 mieszkańców ma dochodu osób:

	od 1200 do 2400 k.	od 2400 do 4800	od 4800 do 10000	ponad 10000
w Galicyi .	537	214	75	27
w Czechach	2130	610	200	74
w całej Austr.	2000	628	226	93

Cyfry te wymownie świadczą o wielkiem ubóstwie kraju.

Sprawa podatków nie schodzi z porządku dziennego w Galicyi i nie zdarzyło mi się rozmawiać z kimkolwiek o stosunkach ekonomicznych kraju, by nie słyszeć utyskiwań na gniotący ciężar podatkowy. Przy bliższem rozpatrzeniu kwestyi okazuje się, że, absolutnie biorąc, ciężar podatkowy, przypadający na głowę, jest w Galicyi nie wyższy, lecz raczej niższy, niż w innych krajach. Lecz chodzi o to, że przy ubóstwie kraju nawet ten ciężar podatkowy staje się nadmiernym. Jak słusznie wyraża się p. Daszyńska-Golińska, Galicya nie doszła dziś jeszcze do tego, by dźwigać mogła ciężar, jaki nakłada na ludność państwo nowożytne. Lecz nietylko sama wysokość podatku odgrywa rolę ważną w życiu ekonomicznem: ważniejszym może nawet jest system pobierania tych podatków i praktyka fiskalna. Pod tym względem pamiętać należy, że Austrya jest najbardziej wstecznem ze wszystkich państw Europy zachodniej, że system podatkowy składa się tu ze steku wszystkich najbardziej zacofanych i nieracyonalnych systemów, jakie wogóle istnieją. Kraje zaś podległe koronie austryackiej muszą się tu stosować do państwa centralnego, autonomia ich to prawie czczy frazes, gdyż reformatorska działalność na własną rękę jest niemal wykluczoną. Jednakże i tu znów stan obecny jest wynikiem długotrwałego nierządu, jakiemu uległa Galicya, a wina za istniejący dotąd nieracyonalny system podatkowy Austryi w znacznej części spada znów na Koło polskie, które zawsze było na usługach ministrów finansów, gdy chodziło o przysłowiowe „Fortwursteln,“ a nigdy nie wzięło na siebie inicyatywy w zakresie reform, lecz raczej im się sprzeciwiało.

Z kwestyą reform podatkowych wiąże się ściśle sprawa „uprzemysłowienia Galicyi,“ o której dziś rozprawiają tak gorączkowo w tym kraju. Że dla Galicyi dziś sprawa dźwignięcia przemysłu jest kwestyą życia i śmierci, na to zgadzają się już niemal wszyscy. Faktem jednakże jest również, że do dziś dnia niema w Galicyi żywiołów politycznych, któreby akcyę w tym zakresie podjąć mogły skutecznie. Tak, jak rzeczy stoją, trzeba tu nie drobnych ulepszeń, lecz reform sięgających do głębi, trzeba ogromnego napięcia sił, by pokonać trudności, by w krótkim czasie naprawić klęski. Tymczasem ostatnie wybory do sejmu krajowego były nowym dowodem zupełnej niezaradności tych żywiołów, po których oczekiwać można dążeń postępowych. Mieszczaństwo galicyjskie przy wyborach ze swojej kuryi nietylko nie zdobyło nowych placówek, lecz przeciwnie, utraciło ich cały poczet, oddało się na łaskę i niełaskę stańczyków. Te wybory karykaturalne były ostatniem wrażeniem, jakie otrzymałem w Galicyi, wrażeniem nad wszelki wyraz smutnem.

Dr. J. B. Marchlewski.

RUDOLF VIRCHOW

W szpitalu berlińskim, zwanym Charité, przed pięćdziesięciu zgórą laty, pracował dzielny młodzieniec, który pomimo 25 lat. miał za sobą już kilka poważnych prac naukowych. Władza oczywiście protegowała i obsypywała dowodami łaski młodego uczonego, a gdy w r. 1848 wydelegowano komisyę dla zbadania epidemii tyfusowej na Górnym Śląsku, złożono kierownictwo w jego ręce. Młodzieniec zamiast być wdzięcznym rządowi pruskiemu za ten zaszczyt nieladа i przytem wyborną okazyę naukowego odznaczenia się, a co za tem idzie, awansu, ogłosił jako rezultat badań swych na Śląsku, pracę, która była niesłychanym skandalem w dziejach państwa pruskiego. Praca ta nosiła tytuł: „Wiadomości o panującej na Górnym Śląsku epidemii tyfusowej“ i była nietylko nieubłaganym aktem oskarżenia, ale policzkiem, wymierzonym ówczesnej biurokracyi górnośląskiej. „Okropna epidemia i głód — pisał młodzieniec — srożą się jednocześnie wśród biednej, ciemnej i przytępionej ludności. Nikt nie przypuszczałby, iż coś podobnego jest możliwem w państwie, które pyszni się wciąż swemi urządzeniami. Skoro jednak stało się, to niechaj rząd nie zwleka dłużej z wysnuwaniem wniosków z tego strasznego doświadczenia. Co do mnie osobiście — pisał autor — to wywiozłem z Górnego Śląska przekonania, które się dadzą streścić w jednym wyrazie: demokracya.“ „Epidemie — czytamy dalej — przypominają owe tablice przydrożne z ostrzeżeniami, gdzie uprzedzają nas o grożącem niebezpieczeństwie. Choroby masowe świadczą zawsze o wadach ustroju społecznego. Chociażbyśmy się tysiąc razy powoływali na warunki atmosfery i zmiany kosmiczne, wzniecają one jednak tylko tam epidemie, gdzie wskutek złych warunków społecznych ludzie żyli przez dłuższy czas wśród nienormalnych okoliczności.“ Tu dopiero autor, nie poprzestając na krytyce, kreśli cały szereg reform, mogących ocalić Górny Śląsk. Należy zatem szerzyć tam przedewszystkiem oświatę wraz z jej „córami — wolnością i dobrobytem,“ należy zaprowadzić szkołę przymusową, oddzielić kościół od państwa i nadać Śląskowi zupełną autonomię państwową i komunalną.

Ów dr. Judym niemiecki z przed pięćdziesięciu lat posunął się nawet tak daleko, iż zażądał założenia na Śląsku stowarzyszeń współdzielczych za pomocą kapitałów państwa lub arystokracyi pieniężnej. W ten sposób tylko — kończył tryumfująco swe dzieło autor — można stworzyć przejście od medycyny, która jest „nauką społeczną,“ do polityki, która właściwie w obszernem słowa znaczeniu jest medycyną.“ Nie dość tego; zaledwie młodzieniec wrócił do Berlina, założył światoburcze pismo *Medicinische Reform*, w którem poddawał nielitościwej krytyce całą organizacyę pomocy lekarskiej, szpitalnictwa itd. Łatwo się domyśleć, jaki był koniec tych „zamachów stanu“ młodego Eskulapa. Pewnego dnia otrzymał, oczywiście z ministeryum, rozkaz natychmiastowego opuszczenia swego stanowiska, przyczem zdrajcy społeczeństwa i obrońcy Górnoślązaków wypowiedziano pokój i obiady szpitalne. Gdy zaś protektorzy naiwnego marzyciela wstawili się za nim u ówczesnego ministra oświaty, tłomacząc, iż jak świat światem każdy porządny człowiek w młodości chciał reformować ludzkość, że zapalony jednak po otrzymaniu posady dobrej, a zwłaszcza ożenku, oświadczy z pewnością, iż ziemia nasza płynie mlekiem i miodem szczęścia i zadowolenia, wtedy pan minister zgodził się przyjąć napowrót młodzieńca, ale pod warunkiem, że odwoła wszystko, co napisał w swej heretyckiej pracy o górnośląskiej epidemii tyfusowej. A więc przysięgnie: nieprawdą jest, jakoby tyfus górnośląski był nieodłącznym towarzyszem głodu i nędzy, przyczyna tkwi tylko w zaiste dziwnych atmosferycznych warunkach Śląska; jeśli ludzie mrą tam jak muchy, to wina, broń Boże, nie spada na biurokracyę pruską, gdyż ta czysta i szlachetna kasta stoi po nad wszelką krytyką. Reformy są zbyteczne; a jedyne, czego Górnoślązacy mogą sobie życzyć z całego serca, jest *status quo ante.* Protektorzy młodzieńca przedstawili mu odnośny cyrograf i nie prosili o nic więcej, jak o podpis — czysta formalność, ot dla porządku tylko. Za kilka lat sam zrozumie, co popełnił i jak pobłażliwie, prawdziwie po ojcowsku obeszła się z nim władza pruska. A jednak — o dziwy! — młodzieniec, pomimo iż nie miał dachu nad głową i przymierał z głodu, odparł w sposób arogancki: „Rudolf Virchow niczego nie odwołuje.“ Zapomnieliśmy bowiem dodać, iż rogaty młodzieniec pozbawiony w swem niedoświadczeniu wszelkiego szacunku dla powag, nazywał się Rudolf Virchow. Kto zna biografię jego, kto pamięta chociażby jego mowę z r. 1891, wygłoszoną przeciwko rządowi pruskiemu, kto słyszał o jego wieloletnich walkach z Bismarckiem, o nienawiści, jaką żywi dwór berliński dla nieśmiertelnego geniusza, kto czytał kiedykolwiek o projekcie rozbrojenia wojskowego, postawionym przez niego w sejmie w przeddzień wojny francusko-pruskiej, ten pozna w starym Virchowie tego samego młodzieńca, który w 26 roku życia, przejęty ideałami wszechludzkimi, wywołał, niby mały Dawid, olbrzyma Goliata, rząd pruski do boju. Przez całe jego życie, poświęcone pracy naukowej i wiekopomnym odkryciom, organizacyi stanu lekarskiego i udoskonaleniu instytucyj leczniczych, reformie hygieny komunalnej i walkom politycznym, popularyzacyi wiedzy wśród mas ludowych i torowaniu drogi dla instytucyj medycyny społecznej — przez cały ten żywot pełen sławy, czynów i poświęcenia przechodzi niby nić czerwona wspomnienie o lekcyi, otrzymanej na Śląsku. Zdaje się, jak gdyby wszędzie i zawsze prześladowały go poznaczone cierpieniem twarze śląskich głodomorów i zagrzewały do boju o ideały ludzkości.

Złożony z urzędu prosektora przez rząd pruski, Virchow wędruje do Würzburga, gdzie ogłasza między innymi „Szkic medyczno-geograficzny o nędzy w miejscowości Spessart.“ Jednocześnie jego odkrycia na polu medycyny nabierają takiego rozgłosu, iż po upływie pięciu lat rząd pruski zaprasza go napowrót do Berlina, ofiarując mu katedrę. Virchow przyjmuje ją pod warunkiem, iż otrzyma własny instytut patologiczny. W Berlinie dopiero ogłasza swe nieśmiertelne dzieło „Patologia komórkowa,“ którem kładzie podwaliny pod nowoczesną medycynę, brnącą do

owego czasu w metafizycznej kołowaciznie teoryi t. zw. humoralnej. Medycyna otrzymuje nowe abecadło: wszelkie procesy chorobliwe dadzą się sprowadzić w ostatniej instancyi do zmian, zachodzących w komórkach, z których składają się wszelkie tkanki ciała ludzkiego. W tym samym czasie za pomocą swych klasycznych badań o trychinach dokonywa on pierwszego przewrotu w hygienie społecznej. Dzięki urządzeniom, po raz pierwszy zaprojektowanym przez Virchowa, udało się trichinozę w Niemczech wytępić prawie bez śladu. Wybrany na radcę miejskiego Berlina, którą to godność piastuje od lat 40 po dzień dzisiejszy, opracowywa naukowe podstawy racyonalnej kanalizacyi, urządza pierwsze wzorowe szpitale i zakłady dla rekonwalescentów. Jednocześnie zaś zwraca się teraz ku nowym dziedzinom, które rym również nadaje niewzruszone podstawy faktów: mam na myśli antropologię, etnografię, archeologię i prahistoryę. On pierwszy nakreślił zasady dokonywania pomiarów na czaszkach ludzkich, z których posiada najbogatszy na świecie zbiór. Za jego inicyatywą sporządzono w szkołach badania nad barwą włosów, skóry i oczu uczniów. Gdy Schliemann przystępuje do wykopywania Troi, wyśmiewany przez świat sceptyków, popiera go swą powagą i zachęca do wytrwałości Virchow. Nie dość tego: pochłonięty już przez trzy warsztaty pracy, z których każdy wystarczyłby na żywot pracy jednego człowieka, Virchow nakłada na siebie w r. 1861 nowe brzemię — mandat poselski do sejmu pruskiego. Co ważniejsza, w instytucyi tej nie odgrywa bynajmniej roli statysty, który głosuje tylko, kiwa głową i bije brawo, lecz przeciwnie, jako członek partyi wolnomyślnej, podejmuje się kontroli budżetu, pracy nadzwyczaj mozolnej i wymagającej zdolności nie tuzinkowych. On dopiero nadał ustawie budżetowej formę odpowiednią, a nadto przez długie lata staczał walki parlamentarne z Bismarckiem o każdą rubrykę. W tych pojedynkach Virchow okazał się szermierzem pierwszorzędnym. Wogóle należał on do najzaciętszych wrogów Bismarcka i rządu pruskiego Gdy Bismarck dokonał swego pierwszego gwałtu dyplomatycznego w sprawie Szlezwig-Holsztynu, Virchow obdarzony wzrokiem proroczym, zawołał w parlamencie: „Pan von Bismarck wpadł we władzę Złego i nigdy się już od niej nie uwolni.“ Tak dalece nienawidził on Attylę pruskiego, iż protestował ostentacyjnie przeciwko uchwale sejmu pruskiego złożenia powinszowania jubileuszowego dymisyonowanemu kanclerzowi. Zaznaczymy tu jeszcze sympatyę, jaką okazywał Virchow warstwom pracującym. Niejednokrotnie miewał on sam, we własnej osobie, odczyty popularne dla rzemieślników. Dużo wrzawy narobiła w swoim czasie wygłoszona przezeń publicznie sentencya: „Idealizm ulotnił się z młodzieży niemieckiej i przeszedł do klasy najmickiej.“

A teraz na zakończenie pozwolimy sobie tu przytoczyć kilka „złotych myśli“ i aforyzmów z prac Rudolfa Virchowa:

Lekarze są najbardziej powołanymi obrońcami ubogich, a kwestya społeczna podlega w wielkiej części ich kompetencyi.

Nie wystarcza, aby państwo każdemu obywatelowi umożliwiło zdobywanie środków istnienia...: powinno ono jeszcze więcej zrobić, a mianowicie przyczynić się do tego, aby mógł prowadzić życie zdrowe.

Podczas epidemii dążeniem medycyny nie może być uspokojenie tych, co mają melony i łososie, paszteły i torty kremowe, ale polepszenie bytu biedaków, którzy nie mają ani miękkiego chleba, ani dobrego mięsa, ani ciepłej odzieży lub łóżka, a przy swojej ciężkiej pracy nie mogą istnieć zupami ryżowemi i rumiankiem. Ach, jakże to nad wyraz smutne, iż tysiące umierają podczas epidemii w nędzy, a tylko setka ma się bardzo dobrze; gdy zaś przychodzi kolej na drugi tysiąc, to setka zadawala się tem, iż wydaje broszurkę hygieniczną.

Czyż mogę ludowi berlińskiemu szczerze powiedzieć: „Słuchajcie! Suchoty stanowią $^{9}/_{10}$ wszystkich wypadków śmierci w waszem mieście, a 80% tych dziewięciu dziesiątych należy do klas pracujących? Czyż mogę ludowi zdradzić tajemnicę, iż podług statystyki najdłużej żyją hrabiowie i bankierzy?

Przed każdą gruntowną reformą mówi się, iż naród nie dojrzał do niej; po przeprowadzeniu jej, dziwna rzecz, okazuje się on zawsze dostatecznie dojrzałym.

Człowiek ma dziś tylko znaczenie jako ręka robocza. A więc taki jest sens tryumfów geniusza ludzkiego? Nie!

Vive immortalis! r



PAMIĘTNIK.

Do odchodzących.

Śmierć jest nieuniknioną towarzyszką życia. Od kolebki idziemy ku niej, grzebiąc za sobą czas niepowrotnie ubiegły. Właściwie umieramy co chwila, lecz jednocześnie rodzą się w głębi nas nowe zastępy pragnień, uczuć, nadziei, nie mamy więc poczucia zgonu. Zgon nastaje wtedy, kiedy w duszy naszej nic już się nie budzi. Naówczas zewnętrzną jej powłokę naciska brzemię bytu ze zdwojoną siłą, a świadomością owłada pragnienie bezwzględnego spoczynku.

Gdy stan taki nawiedza człowieka często, albo trwa dłużej, nic nie wstrzyma duszy jego od porzucenia żyjących. Nie powstrzymają go ani zakazy religii, ani filozofia, ani żadne dogmaty, ani wzniosłe rozumowania, ani strach mąk wieczystych lub hańby doczesnej. Znie samobójstwo w oczach naszych swe kłosy wśród złych i dobrych, wśród pobożnych i niedowiarków, wśród ojców rodzin i samotników bezdomnych. Najbliższe powody są rozmaite, a często tak błahe, iż widać odrazu, że były ostatnią kroplą, która czarę przelała.

Na dnie każdego samobójstwa leży brak przez czas dłuższy wrażeń ożywczych, wznawiających przywiązanie do życia.

Czasem wrażenia takie istnieją w otoczeniu, ale choroba albo bezmiar bólu pozbawiły duszę zdolności dostrzegania ich i wchłaniania w siebie. Wcale inaczej przedstawia się szereg, następujących po sobie w krótkim czasie, podobnych do siebie samobójstw bez widocznych przyczyn. Są to już sygnały, ostrzegające społeczeństwo, że wyschły w niem lub zubożały żywiodajne zdroje. Przepaść otwiera się pod nogami żyjących. Każde samobójstwo jest ciosem, godzącym w samo serce ogółu i powleka go żałobą. „Dlaczego odchodzicie od nas?!“ — wołują w głębokim żalu. „Dlaczego zwalacie na nas ciężar dla wielu za ciężki?! Cóżeśmy winni, że zabrakło nam rós chłodnych, że nie możemy zwilżać spękanych ust waszych?! I nasze usta łakną i cierpią dusze nabrzmiałe łzami, a jednak dźwigamy! Chwilę, chwilę wstrzymajcie się! . Przecież sen wieczny was nie ominie!..“

Daremne wołanie — odeszli przed czasem, skrzywdzili ciemnych, słabych i maluczkich. Myślę, że z uczuć jedynie *poświęcenie* jest w stanie chwycić się za bary z ołowianą niemocą znużenia i z drżeniem niewysłowionej katuszy. Dla przykładu wyobrażam sobie boerskiego żołnierza, młodego chłopca, dziecko prawie, ściganego w słotną noc jesienną. Członki jego drżą z zimna, głód skręca wnętrzności, obolałe stopy głęboko lgną w błocie, poranione ręce ledwie dźwigają karabin. Wszystko w nim woła wielkim głosem o sen, o spokój, o kąt ciepły, o słowa zachęty i pieszczotę matki. Ale towarzysze jego pomordowani, krewni dawno znikli, gniazdo rodzinne w gruzach... Wokoło błyszczą liczne ognie straży angielskich... A jednak on idzie wciąż naprzód w szarugę i ciemność i wątpię, aby myśl o samobójstwie postała mu w głowie. On wie, że śmierć, własną zadana dłonią, nietylko odbiera żołnierza współbraciom, ale niszczy i cząstkę ich męstwa.

Wacław Sieroszewski.

Dziwna niekonsekwencya.

Znowu powtórzyła się stara, bezmyślna scena naszych pseudo-liberalnych oburzeń. Umiera ktoś, kto albo życiem, albo śmiercią wyłączył się sam z Kościoła i utracił prawo do religijnych obrzędów pogrzebowych, a gdy duchowieństwo nie chce ich spełniać, przyjaciele lub nawet współwyznawcy duchowi nieboszczyka rozpoczynają zabiegi, prośby, wreszcie skargi na kler za „okrucieństwo.“ Pojmujemy, jeśli to czyni rodzina lub bliscy zmarłego, którzy są ludźmi nabożnymi, którym brak udziału księży w pogrzebie sprawia boleść i którzy podejmują staranie ze szczerą wiarą w konieczność i zbawienność pewnych ceremonii. Ale co znaczą krzyki całej gminy niby-radykalnej? Jest to wrzask nielogiczny i dziecinny. Trzeba raz mieć odwagę przyznania i głośnego powiedzenia, że duchowieństwo, odmawiając religijnych posług ludziom bezbożnym, samobójcom itd., zachowuje daleko większą konsekwencyę, niż jego liberalni oskarżyciele, którzy dla pokazu nadają wielką wartość temu, czemu zwykle nie nadają żadnej i którzy ze swych nieboszczyków sami robią grzesznych lekkoduchów, wymagających oczyszczenia po śmierci.

Potrzeba kontrapary.

Maluczko a zostanie w Warszawie zaledwie kilka pism peryodycznych, które nie trudnią się przyjacielską lub wynagradzaną reklamą. Restauracye, cukiernie, hotele, sklepy, maszyny, wydawnictwa, wszystko dziś już przesuwa się przez kolumny prasy z mniej lub więcej zawoalowaną a gszeftowi służącą chwalbą. W ostatnich czasach wylągł się obfity rój nowych pism, których znaczna część nie posiada warunków życia. Ażeby uratować swe istnienie, wszystkie te motyle cisną się pod opiekuńcze skrzydła protektorów dziennikarskich, którzy za pomocą sztucznych zachwytów, podniecających wzmianek, znaczących napomknień ściągają im czytelników i prenumeratorów. Nie mamy nic przeciwko powstawaniu nowych wydawnictw peryodycznych, owszem, niech się rozwija ten ważny organ naszego życia, ale nie na gruncie i siłą kłamstwa, podstępnej naganki, fałszywych uwielbień, słowem — reklamy.

Wzniesiono w Warszawie nowy hotel. Że w nim zaprowadzono wszelkie udoskonalenia techniczne najlepszych tego rodzaju gmachów za granicą, jest to chwalebnem i widocznie dla interesu przedsiębiorców korzystnem. Ale kto słyszał za granicą, ażeby apoteozę jakiegoś hotelu wygłaszano w poważnem Towarzystwie (hygienicznem), ażeby obszerne sprawozdania z tej apoteozy zamieszczały poważne pisma, ażeby na otwarcie kawiarni tego hotelu zapraszano przedstawicieli prasy? Zaiste, panowie maszyniści od reklam powinniby swej lokomotywie dać kontraparę.

Nasz Orlando.

Prawdopodobnie jest to złośliwem zmyśleniem, że p. Kaprys (pseudonym) nie wydążyłby zbogacać naszej literatury tak

hojnie nawet obiema rękami i że używa do tego również nóg, w każdym razie przyszli powieściopisarze naszych czasów dla oznaczenia wyjątkowości chwili będą mieli prawo kiedyś powiedzieć: „było to owego pamiętnego dnia, w którym p. Kaprys nie napisał ani jednego artykułu.“ Ta nadzwyczajna płodność, zapewniająca szan. autorowi poważne stanowisko śród tych gatunków, których matki znoszą po kilkaset jajek dziennie, nietylko stawia go na szczycie naszej wytwórczości dziennikarskiej, ale w pewnych wypadkach daje mu niezwyciężoną w walce przewagę nad przeciwnikami. Bo jeżeli — jak np. obecnie — uderzy on na tygodniki, po jednem ich cięciu może je rąbnąć siedmioma. A rozmach ma tak wielki, że nieraz w nim, nie znalazłszy dostatecznego oporu dla swej szabli, aż się sam wraz z nią przewraca. Zwykle zaś z dzikim impetem wpada w jakąś gromadę ludzi, której wygląd mu się nie podoba, tnie wszystkich bez namysłu i wyboru, klnąc przytem jak Węgier i krzycząc jak Tatar, a gdy „usiekł“ kupę głów, staje zasapany i mówi: „To hołota! Ja grzecznie ze szpadą do szlachetnego pojedynku, a oni mnie kamieniem w łeb!“ I oto teraz ktoś gdzieś (bo nie zauważyliśmy) wystąpił przeciw prasie codziennej i dotknął zarzutem naszego gentilhomme'a. Zamiast rozprawić się z tym śmiałkiem, p. K. natarł (w *Kuryerze Warszawskim*) na wszystkie tygodniki, które — według niego — mają być tylko pasorzytami gazet codziennych. Gdy zaś ten i ów „kawaler, zacisnąwszy piąstki,“ poważył się hardo mu odpowiedzieć, nasz Orlando wpadł w istny szał: a wy, „mędrcy tuzinkowi, lepiący rakiety ze złości, śliny, bezsensu i tandetnego frazesu,“ a wy „ulieczniki literackie,“ a wy „borbifuksy“! — i tak dalej popłynęła prawdziwie wersalska rulada połajanek. Wreszcie pogromca ją przerwał i krzyknął: „Z głowy kapelusze!“ Naturalnie my tygodniki i naturalnie przed nim — p. Kaprysem. A wiecie dlaczego kazał on nam odryć głowy? Nietylko dlatego, że to wielki mocarz słowa, „gotów codziennie wypowiadać się nawet w takich artykułach, które z literaturą nie mają nic wspólnego,“ ale dlatego, że w nim tkwi majestat tragedyi, że może „kiedyś redaktor mu oświadczy: powiedziałeś wszystko, co miałeś do powiedzenia, stajesz się nudnym, idź sobie.“ Tą łzą p. Kaprys szczerze nas rozrzewnił; zamiast więc odpierać jego gwałtowny atak na tygodniki, a więc i na nas, składamy dłonie do prośby: p. Kaprysie, litości — nad sobą, bo redaktorowie najprędzej odprawiają współpracowników śmiesznych!

Towarzystwo fotograficzne.

Od kilku tygodni faktycznie już istnieje w Warszawie nowa instytucya: Towarzystwo fotografów. Celem jego jest, jak głosi ustawa, współdziałanie w rozwoju fotografii i jej zastosowań, ułatwianie członkom zajmowania się fotografią i wogóle wzajemne zbliżenie się fotografów. Do osiągnięcia tych celów służą: urządzenie altany i pracowni fotograficznej, wyposażenie ich w niezbędne przyrządy, głównie zaś takie, których nabycie dla osób pojedynczych może być zanadto trudne. Urządzenie biura fotograficznego, udzielającego wskazówek, sprawdzającego przyrządy i materyały; utworzenie biblioteki i czytelni fotograficznej; zbieranie kolekcyi wzorowych robót fotograficznych, urządzanie wycieczek, wystaw fotograficznych i nagradzanie na nich; pogadanki techniczne, zebrania towarzyskie i odczyty publiczne, dotyczące fotografii. Członkowie Towarzystwa mają prawo robić zdjęcia fotograficzne we wszystkich miejscowościach państwa, z wyjątkiem strategicznych i należących do zarządu pałaców.

Na posiedzeniu organizacyjnem d. 12 października, poruszono bardzo ważną sprawę ze stanowiska ekonomicznego. Ktoś podał wniosek, ażeby Towarzystwo weszło w układy z hurtowymi dostawcami wszelkich przedmiotów, niezbędnych dla fotografów po cenach przystępniejszych, niż w handlu cząstkowym. Otóż okazało się, że układy takie są niemożliwe, gdyż fabrykanci niemieccy, wytwórcy chemikaliów i wszelkich innych środków, niezbędnych dla fotografów, urządzili trust, którego zadaniem jest trzymać te przedmioty na wysokim poziomie cen. Jeżeli zaś ktokolwiek z dostawców hurtowych odważy się zrobić pewne ustępstwa dla spożywców, będzie w niemiłosierny sposób zbojkotowany przez trust, tj. nie dostanie za żadną cenę tych wszystkich przedmiotów, na których opiera swe istnienie. Ten szkodliwy polip ekonomiczny rozrósł się tak szeroko, że sięga do nas; opłątał swojemi ramionami dostawców miejscowych, tj. uzależnił ich zupełnie. W tych właśnie stosunkach tkwi tajemnica, dla czego u nas chemikalia i wszelkie przedmioty fotograficzne ceniono są na wagę złota. Wyświetlenie to bądź co bądź jest bardzo ważne i powinno dać naszemu Tow. fotograficznemu możność przeciwdziałania rabusiom, panującym bezkarnie. Już ta jedna walka na polu ekonomicznem byłaby wielką zasługą Towarzystwa fotograficznego. Na innych polach łączna praca tej instytucyi może mieć również doniosłe znaczenie, jak np. w dziedzinie etnografii i wogóle krajoznawstwa. Pracy rozproszonej, bezcelowej, służącej dotychczas przeważnie za prostą zabawkę, Towarzystwo nadać może pewną celowość i wartość. *p.*

Jest — niema!

W remizach tramwajów warszawskich odkryto przed paru tygodniami karbunkuł. Padło kilkadziesiąt koni. Na taką ilość niewątpliwie trzeba było dużo czasu, dużo przyjaznych, niczem nietamowanych warunków, w którychby się rozwinęła choroba. Wykryto ją jednak i przedsięwzięto środki energiczne, które podobno w ciągu kilku dni wytępiły zarazę. Od czasu do czasu wynurzała się ona jednak i chowała, jak krwawe słońce polarne, na szpaltach pism naszych. Choroba jest, choroby niema! „To nie był karbunkuł, to była influenza!... To zapalenie płuc!...“

W taki sposób pod tajemniczem działaniem jakiegoś środka cudownego zmienia się epizootya śród koni. Może za pomocą tego samego środka wkrótce się dowiemy, że nie był i nie jest to ani karbunkuł, ani influenza, tylko zwyczajny katar. Faktem jednak jest, że zaraza w Warszawie panowała i rozszerzała się znacznie, że groziła nietylko zwierzętom, lecz i ludziom, że wreszcie pomoc weterynaryjna nadeszła zbyt późno. Czy to jedyny i ostatni wypadek? Pisma znowu doniosły o szerzącej się *od dłuższego czasu* zarazie na trzodę i ptactwo na Woli pod Warszawą. „Zaraza ta — pisze *Gazeta Polska* — doprowadza przez utratę dobytku do ruiny ubogą ludność tego przedmieścia, tymczasem o przedsiebraniu jakichkolwiek środków celem stłumienia choroby nie słychać.“ To samo dzieje się w innych okolicach kraju. Oto co pisze *Warsz. Dniew.*: „W Bytoniu (pow. Nieszawski), majątku p. Sikorskiego, według krążących wieści, szerzyła się śród koni nosacizna, choroba bardzo zaraźliwa i niebezpieczna i dla ludzi, lecz wbrew istniejącym przepisom, właściciel nietylko nie zawiadomił o tem władz właściwych, lecz i sam nie przedsiebrał żadnych środków dla ograniczenia zarazy. Gdy pewnego razu weterynarz przybył na miejsce, aby sprawdzić pogłoski, nie pokazano mu wszystkich zwierząt. W tych dniach zwiedzał powiat Nieszawski weterynarz gubernialny warszawski, a dowiedziawszy się o pogłoskach powyższych, udał się do Bytonia, aby obejrzeć wszystkie konie w majątku. Wynikiem tych oględzin było stwierdzenie zupełnie rozwiniętej nosacizny u 8 koni oraz pierwsze objawy u 12 z ogólnej liczby 47. Wszystkie konie chore niezwłocznie zastrzelono, podejrzane odosobniono, a cały majątek oddano pod najściślejszy nadzór weterynaryjny.“ Trzeba było aż takiego wypadku, żeby weterynarz gubernialny dowiedział się mimochodem o *pogłoskach* i stłumił zarazę. „Pogłoski“ te musiały być długie i uporczywe, skoro zaraza trwała *przeszło rok* bez żadnych przeszkód. W tym czasie syn samego właściciela i robotnik zmarli „na jakąś chorobę podejrzaną.“ Pomimo groźnego niebezpieczeństwa dla ludzi, właściciel w dalszym ciągu używał koni do robót i odsyłał nimi buraki do cukrowni w pobliżu granicy pruskiej. Majątek jego był rozsadnikiem nosacizny, która istotnie pojawiła się w miejscowościach sąsiednich. Rozszerzenie zarazy było tem łatwiejsze, że w Bytoniu jest kościół, do którego zjeżdżają się wszyscy mieszkańcy sąsiedni. Cała okolica przeszło przez rok powtarzała: „zaraza jest!“, a właściciel odpowiadał: „zarazy niema!“

Wszystkie te jednak fakty są tak krzyczące, tak dalece grożą bezpieczeństwu publicznemu, że należałoby przedsięwziąć jakąś gruntowną reformę pomocy weterynaryjnej, która, jak wiadomo, jest w całym kraju bardzo niedostateczną. Nadto, byłyby pożądane książeczki popularne, poświęcone hygienie zwierząt, opisowi chorób niebezpiecznych i środków ochronnych. Bardzo skuteczną byłaby tu praca wspólna, którą najlepiej byłoby zogniskować w instytucyi. *Prawda* przed kilku laty w osobnym artykule podawała projekt założenia w Warszawie Towarzystwa weterynaryjnego, ale myśl ta nie znalazła oddźwięku. Życie jednak wymownie stwierdza, że taka instytucya jest nam bardzo potrzebna. *Zn.*

BADANIA NAUKOWE.

J. J. Bachofen.

(1861—1901).

II.

Bachofen, jako bogaty mieszczanin szwajcarski, jako doktór prawa rzymskiego, wychowany był i wykształcony w ściśle patryarchalnym duchu i tradycyach. Jużeśmy widzieli i zobaczymy jeszcze niżej, że matryarchatu i żonowładztwa wogóle nie uważał bynajmniej za najwyższą formę bytu społecznego i powrotu jej nie pragnął, przeciwnie, przed nim ostrzegał. Pod tym względem wierny on był duchowi i pojęciom swej klasy. Od innych natomiast wybitnych tej klasy przedstawicieli w zakresie studyów nad starożytnością, jak np. Mommsen i Gladstone *), tem się właśnie Bachofen wyróżnił i to stanowi jego zasługę, że przynajmniej przy badaniu przeszłości potrafił się wyzwolić od apercepcyi klasowej. Szczególnie widocznem jest zaślepiające działanie tej apercepcyi patryarchalnej u Mommsena. Nietylko pomija on prawie zupełnie milczeniem liczne ślady matryarchatu u Etrusków, Sabinów i u Rzymian samych, które Bachofen mu udowadnia, ale jeszcze w swej burżuazyjnej konsekwencyi usiłuje zedrzeć aureolę z imponu-

*) Gladstone oświadczył, że teorya matryarchatu nie da się pogodzić z Homerem. Mac Lennan odpowiedział mu na to rozprawą pt. „Pokrewieństwo w dawnej Grecyi“ — w r. 1886.

jących, bohaterskich postaci matron rzymskich, składając na karb fantazyi jakiegoś „nieznanego rzymskiego Shakespeare'a“ rolę Wolumnii Weturyi, Waleryi w odwróceniu Koryolana od zdrady. Bachofen wykazuje, że takie obywatelskie wystąpienia bynajmniej nie były dla kobiet rzymskich czemś niezwykłem.

Bachofen wogóle nie uznaje tej „subjektywno-historycznej krytyki,“ która z mistycznych i cudownych podań przeszłości odrzuca wszystko, co nie zgadza się z „prawami natury ludzkiej, takiemi, jak wydają się nam one teraz,“ z racyonalizmem krytyka i jego epoki. Szydzi on z płytkości takiej metody zdrowego rozsądku, dla której owe podania są tylko nieprawdopodobną poezyą. „Tak — powiada — poezyą zdaje się to wszystko w świetle stosunków dzisiejszych. Ale najwyższą poezyą, lotniejszą i bardziej od fantazyi wstrząsającą, jest prawda historyczna.“ Mit jest wykwitem i wyrazem życia; dlatego badacz powinien przystępować do niego z szacunkiem i starać się wydzielić z niego nie to, co jemu się wydaje „racyonalnom,“ a to, co jest w mitach danej epoki zgodnem, ogólnem. „Prawdziwa krytyka polega na zrozumieniu“ — brzmi epigraf jego „Listów antykwarskich.“

Dzięki takiemu rozumieniu właśnie ludów, których poglądem na świat były mity, dzięki umiejętności życia ich życiem, którą już Herder zalecał badaczom starożytności, Bachofen odkrywa cały świat nowy. Wyłamuje on się z pod rutyny historyków świata klasycznego, którzy ścianą jakąś nieprzebytą oddzielają czasy historyczne od przedhistorycznych. Przedział taki jest, jego zdaniem, zupełnie nieuzasadniony: „tradycya bowiem mityczna jest wyrazem praw życia w czasach, w których rozwój historyczny świata starożytnego ma swe podstawy i źródła.“ Bachofen, humanista z krwi i kości, spadkobierca całego Odrodzenia, przesuwa zatem bardziej w głąb jeszcze granicę tej przeszłości, która była przedmiotem retrospekcyi Odrodzenia i humanizmu. To *pogłębienie retrospekcyi* rewolucyonizuje poglądy na starożytność i wprowadza też nowy, rewolucyonizujący pierwiastek do pojęć społecznych wogóle, wykazując względność i czasowość rodziny patryarchalnej, dotychczas za jedynie możliwą i niezmienną powszechnie uważanej. Tem bardziej, że odkrycia, do którego Bachofen doszedł tą filologiczną, gabinetową drogą, dokonywa jednocześnie Morgan dzięki bezpośredniemu zetknięciu się z ludami stojącymi na poziomie owej epoki przedhistorycznej. Jego „Liga Irokezów“ wychodzi w r. 1851; „Primitive Marriage“ Mac Lennana w r. 1865. Obydwaj autorowie nie znali jeszcze wówczas prac Bachofena, ani Bachofen nie znał ich prac. W „Systemach pokrewieństwa“ (1871) i „Społeczeństwie pierwot.“ (1877) Morgan już korzysta z dzieł Bachofena; Bachofen też w „Listach antykwarskich“ zużytkowuje dane, dostarczone przez Morgana, Mac Lennana, Lubbocka, Bastiana; zastosowuje swój punkt widzenia i do podań germańskich, skandynawskich itd.; wogóle — żywo zajmuje się etnografią. Dzięki Bachofenowi zatem badanie początków cywilizacyi europejskiej zlewa się w jedną naukę z etnologią; zastosowanie metody porównawczej umacnia pojęcie o jednakowych prawach rozwoju wszystkich społeczeństw. Od niego i Morgana zaczyna się naprawdę zwiastowana już dawniej przez niektórych utopistów przemiana Odrodzenia klasycznego na nowy prąd Odrodzenia, którego przedmiotem retrospekcyi jest już nie państwowość rzymska, nie sztuka helleńska, lecz wspólnota matryarchalna, społeczeństwo — jak je sam Bachofen określa — wolne od niezgod wewnętrznych, nacechowane jednakową miłością wzajemną wszystkich swych członków.

Nowy ten humanizm idealizuje pierwotną wspólnotę matryarchalną; Morgan, Engels — spodziewają się nawet i pragną jej powrotu w „wyższej formie.“ Bachofen, jak już wiemy, zanadto był humanistą mieszczańskim, aby mógł mieć takie poglądy. A jednak i na nim sprawdza się ta głęboka prawda, że uczucie i myśl są w człowieku nierozdzielne, i że u uczonego, szczególnie u myśliciela uogólniającego, kierunek rozumowań i odkryć zależy od kierunku uczuć i pragnień. Bachofen, dzięki całej swej atmosferze, nawskróś przesiąknięty patryarchalizmem, nie byłby pewno zdobył się na rozpatrywanie przeszłości pod innym kątem widzenia, gdyby nie częściowe oddziaływanie pobudek przeciwnej natury, przedewszystkiem uczuciowych. Możemy wskazać dwa wpływy tego rodzaju. Pierwszy jest natury czysto biograficznej: Bachofen miał matkę, Waleryę Merian, kobietę bardzo światłą i subtelną. Jej pamięci poświęcił on swe główne dzieło „Prawo macierzyste,“ i słusznie mówi Rusanow, że grecki epigraf tej książki: „Przez życie całe opiewać nie przestaniemy twej miłości i wierności!“ — uważać można nietylko za klucz do idei przewodniej całego dzieła, ale i za objaw czułego przywiązania synowskiego. Tej więc matronie, jednej z tych, jakie nie są wyjątkami w dobrze zorganizowanej, niedotkniętej zębem rozkładu rodzinie patryarchalnej, zawdzięczać mogą kobiety — wydobycie z tendencyjnego zapomnienia pierwszych wychowawczyń i przewodniczek ludzkości, wielkich obywatelek, Deotym i Wolumnij. Drugi czynnik jest mniej osobisty, ogólniejszy. Idealistyczno-dyalektyczna filozofia niemiecka, filozofia Fichtego, Schellinga, Krausego, za punkt wyjścia całego rozwoju zarówno kosmicznego, jak społecznego, brała *stan bez sprzeczności*, który był zarazem stanem nie-zindywidualizowania, rozpłynięcia się jednostki w masie, w powszechności; wyłanianie się jednostki i przeciwstawianie się jej ogółowi było uważane za początek procesu rozwojowego i zarazem — klęsk i cierpień ludzkości. Społeczno-uczuciowy podkład tej idei zrozumiemy, jeśli uprzytomnimy sobie, że była ona tylko metafizyczną przeróbką pojęć Rousseauwskiego „stanu natury,“ który kończy się zamanifestowaniem interesów określonej jednostki-właściciela, oraz wieku złotego, a przynajmniej — raju. Chodziło o powściągnięcie indywidualizmu, który przejawiał się zarówno w krytyce tradycyi, jak w coraz gwałtowniejszej walce o byt — o własność. Stan bez sprzeczności, zgoda jednostki z ogółem — miały powrócić w nowej, wyższej formie. Że Bachofen, chociaż milioner, mógł dzielić podobne uczucia, mianowicie pewną niechęć do brutalnej walki o byt, pewną tęsknotę do harmonii interesów społecznych, to nie wyda się nam nieprawdopodobnem, gdy sobie przypomnimy, że nie był on bezpośrednio dorabiającym się kapitalistą, lecz estetą, u którego pamięć o społecznem źródle jego kultury zupełnie może już zanikła, i że Szwajcarya nie była widownią gwałtownej walki klas. Że faktycznie znajdował się on pod wpływem powyższych idei idealizmu niemieckiego, o tem świadczy sam jego opis społeczeństwa, opartego na prawie macierzystem — przypisanie mu „znamienia powszechności, jedności masy, która cechuje początek wszelkiego rozwoju,“ a którą patryarchat rozkłada przez swój wpływ różniczkujący, indywidualizujący*). Otóż Bachofen zajmuje też ważne stanowisko w historyi rozwoju pojęć o stanie natury, wieku złotym itp., która nas specyalnie obchodzi: idealizacya pierwotnego stanu bez sprzeczności ani indywidualiza-

*) Oczywiście, wpływu Spencera, jego „przechodzenia od jedności do różnorodności,“ upatrywać tu niepodobna.

cyi nie jest już u niego czysto abstrakcyjną, filozoficzną, ale przeważnie konkretną, socyologiczno-historyczną.

(D. n.).

Dr. K. Krauz.

NOTATKI NAUKOWE.

F. Tisserand: *Szkice astronomiczne*, z „Annuaires du Bureau des Longitudes,“ zebrał i przełożył M. H. Horwitz, str. 184, r. 1901.

Wydawcy biblioteki popularnej dobrze zrobili, obdarzając naszą ubogą literaturę naukową książką z dziedziny astronomii, która liczy wszędzie wielu zwolenników. P. Horwitz, zamiast wziąć gotowe dziełko i przetłomaczyć je, zadał sobie trud wybrania szeregu szkiców znanego uczonego, F. Tisseranda, i połączył je w jedną całość. W ten sposób wprowadził czytelnika do warsztatu pracy naukowej, co jest niezaprzeczenie lepszą metodą, aniżeli podawanie samych rezultatów badań w ostatecznej ich postaci. W książce wymienionej znajdujemy nawet rozdział, poświęcony niedokonanym jeszcze pracom naukowym (o planetach przedmerkurowych), co do pewnego stopnia jest nowością w tego rodzaju pracach.

„Szkice astronomiczne“ zawierają pięć rozdziałów: O zwichnięciach biegu ciał niebieskich, O mierzeniu mas w astronomi, O księżycu i jego przyspieszeniu wiekowem, O planetach przedmerkurowych, O ruchu własnym układu słonecznego. Wszystkie szkice są pisane przystępnie, wymagają bowiem tylko znajomości matematyki i fizyki w zakresie elementarnym, a zarazem barwnie, przejrzyście i zajmująco. Szkoda tylko, że tłomacz nie zwrócił dostatecznej uwagi na język, który miejscami nieco kuleje. Przytaczamy tu parę przykładów, aby nas nie posądzono o gołosłowność: np. „wypadek podzielimy na 10,“ str. 30; „Le Verriera, który *akurat* dość długo pracował, by...“, str. 38; „założenie to nie jest jeszcze *urzeczywistnialne*, str. 46. Są to jednak drobne usterki, okupione sowicie innemi zaletami dziełka, które polecić można śmiało każdemu, kto się interesuje badaniami astronomicznemi. *wu.*

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA ANGIELSKA.

KWESTYA KOBIECA W POWIEŚCI.

G. Meredith: *One of our conquerors.* — Grant Allen: *The woman who did.*

Bohater pierwszej z tych powieści, Wiktor Radnor, natura genialna, zwycięzca ludzi, hedonista-epikurejczyk, sprzedał się w młodości z nędzy starej i bogatej wdowie. Ta miała u siebie, jako towarzyszkę, młodą i piękną, Natalię. Wiktor odrazu ją pokochał, zdobył jej wzajemność i uciekł z nią. Młodzi ludzie stanęli w ten sposób do walki z otoczeniem o naturę i przeciw konwenansom. Natura w swych wymaganiach usprawiedliwiona jest tem, iż rodzi się im córeczka nielegalna, Nesta, która po latach dwudziestu wyrasta na świeżą, piękną, zdolną i rozwiniętą umysłowo dziewicę. Wiktor w tymże czasie, dzięki przyrodzonym swym spekulacyjnym talentom, staje się bogatym bankierem. Nie bacząc na fałszywe swe położenie, nie chce rozstać się z towarzystwem i w ten sposób wystawia Natalię na starcia, których ona znieść nie może. Jest to natura spokojna, uległa raczej, niż zdolna do buntu społecznego. Wiktor chciałby podtrzymywać swe stosunki z nią, ale nie może tego uczynić, gdyż

pierwsza jego żona wciąż żyje, pomimo starości i różnych chorób.

Dawniej, gdy Nesta była małą, rodzina trzymała się na uboczu, ale nastąpił wreszcie czas, iż należało ją wprowadzić w świat i towarzystwo, które nie zna tajemnicy, ciążącej nad trojgiem tych osób. Wiktor chcąc, by Nesta znajdowała się pod protekcyą potęg społecznych, spogląda z przychylnością na zaloty lorda Sowerby, syna bogatej i arystokratycznej rodziny.

Nesta, zgodnie z myślą ojca, nie odrzuca tych zabiegów i przyzwyczaja się coraz bardziej do młodego człowieka, gdy naraz, dzięki przypadkowi, poznaje fałszywość swego położenia społecznego, o czem jednocześnie dowiaduje się i Sowerby. Ten zaczyna oględnie się cofać, jakkolwiek kocha Nestę, która dzięki tym wszystkim zajściom, przechodzi przesilenie moralne, otwierające jej oczy na świat i ludzi.

Była ona wychowaną przez ojca na kobietę-lalkę, teraz dopiero zaczyna się rozwijać jako jednostka, spostrzega nicość Sowerby'ego, jego tchórzliwą oględność, zwłaszcza, iż może ją porównać z męską odwagą kapitana Dartrego Fenellana, który właśnie powrócił z wyprawy afrykańskiej, gdzie szczytnie się odznaczył. Rycerski heroizm Fenellana jest wyższym od przesądów i Nesta poznaje, iż w nim mieć będzie towarzysza—nie opiekuna społecznego, jakby się działo z Sowerbym.

Poglądy Mereditha na kwestyę kobiecą, o ile wyrażone zostały w niniejszej i innych powieściach, streścić się dają w sposób następujący: Położenie kobiety jest wyrokiem na naszą cywilzacyę. Kobiety zmuszane są systematycznie do ciągłej obłudy: im nie wolno być szczeremi. Przystosowując się do wymagań, walki z mężczyzną, stają się zalotnemi. W ten sposób owe poddanki stają się silnemi, dzięki słabości mężczyzn. Jeżeli są sentymentalnemi — co, zdaniem Mereditha, jest grzechem gorszym daleko od zalotności — to także zastosowują się tylko do smaku męskiego. Autor przedstawia nam kobiety nietylko jakiemi są pod wpływem egoizmu mężczyzn, ale także, jakiemiby mogły być, gdyby nie ta tyrania. A mianowicie, wszystkie jego bohaterki mają w sobie natężoną żądzę niezależności, swobody myśli i czynu, wszystko to jednak skrępowane jest bojaźnią i biernem zastosowaniem do środowiska. Zapewnijcie im wolność rozwoju, a będziecie mieli towarzyszki dzielne umysłowo i moralnie, nie niewolnice słabe, sentymentalne lub zalotne. Od czasu obecnego, który jest tylko półcywilizacyą, wytworzoną przez mężczyznę, przejdziecie do zupełnej cywilizacyi.

Odmawiajcie im w dalszym ciągu równouprawnienia i niezależności, a pozostaną nadal przedstawicielkami „niepojętej,“ „tajemniczej“ płci, zmiennej i impulsywnej od urodzenia. Wyrzeknijcie się owej tyranii, zmieńcie wasze smaki i wymagania, chwalcie je nie za cechy ornamentacyjne, lecz użyteczne, a przestanie być błyskotliwą lalką, zdobędzie siłę charakteru i moc myśli. Przy obecnym stanie obie płci jednakowo cierpią. Istnieje mało kobiet, odznaczających się męzkością charakteru, natomiast dużo mężczyzn słabych, zniewieściałych.

W złotym wieku zupełnego rozkwitu cywilizacyi — powiada Meredith — nastąpi zbliżenie płci pod względem cech moralno-umysłowych: każdy człowiek, mężczyzna czy kobieta, odznaczać się będzie męzkością myśli i charakteru i zarazem kobiecem wydelikaceniem uczuć. Autor liczy na to, iż przemiana ta przyspieszona będzie dzięki zlaniu się typów anglosaskiego, energicznego i celtyckiego, odznaczającego się raczej artyzmem, niż dzielnością.

Poglądy te, w gruncie słuszne, wywołały bardzo żywą wymianę myśli śród pisarzy angielskich. Jedni piszą karykatury na ideały męzko-kobiece Mereditha. Inni, jak G. Egerton, powtarzając jego pesymistyczny obraz teraźniejszości, przypuszczają, iż wszystko pozostanie i nadal niezmiennem. Istotnie, stając na indywidualistycznem czysto stanowisku Mereditha, trudno przypuścić, by cokolwiek szybko się zmieniło w obecnym stanie rzeczy. Na to trzeba reform społecznych. Zrozumiał to Grant Allen, który w powieści swej „The Woman who did,“ pokazuje, iż czysto indywidualne protesty przeciw otoczeniu często do zguby doprowadzić mogą. Bohaterka, Herminia Burton, jest piękną, bogatą i dobrze wychowaną córką biskupa, a pomimo to odrzuca z przekonania małżeństwo nietylko religijne, ale i cywilne. Skończyła uniwersytet w Cambridge i chce zapatrywania swe wprowadzić w życie. Spotyka Allana Merricha, który się jej bardzo podoba. On ją kocha i prosi o rękę. Herminia odpowiada w sposób następujący: „Połączymy się, jeżeli pan chcesz, ale tylko czasowo i swobodnie. Zachowuję swe imię, pan swoje. W dniu, gdy jedno z nas przestanie czuć miłość do drugiego, wyjaśni to bez obłudy i odda natychmiast swe serce temu lub tej, kogo pokocha.“ Tak rozprawia córka biskupa. Allan Merrich przyjmuje tę propozycyę i nowe stadło zakłada się na powyższych zasadach. Niestety, przesądy towarzyskie nie pozostawiają mu żadnej swobody, tak iż wobec zbliżającego się połogu, nasza para zmuszoną jest wyjechać do Włoch. W Peruzie urodziła się im córeczka. Wkrótce potem Merrich umiera i Herminia z dzieckiem wraca do Londynu. Tu, od pierwszych kroków zmuszona jest uciekać się do kłamstwa, by objaśnić istnienie swej córki. Nazywa się panią Burton: wszyscy się dziwią, czemu nie panią Merrich. Zajmuje się dziennikarstwem, albowiem jest to jedyne środowisko w Anglii, które nie sobie nic robi z faryzeuszowskiej „respectability.“

Żyje w ubóstwie i dlatego zmuszoną jest zgodzić się na to, by córeczką jej, Dolores, zajmowali się dwaj dziadkowie jej, biskup i doktór słynny, obydwaj bogaci. Dolores wychowaną jest w poszanowaniu wszystkich przesądów, z którymi matka jej zerwała; czuje odrazę do jej ubóstwa.

Tymczasem podrasta, kocha młodzieńca, który wywzajemnia się jej gorącem uczuciem, dowiedziawszy się o tajemnicy swego urodzenia, Dolores jest tak oburzona na matkę, iż nie szczędzi jej najostrzejszych wyrzutów, czem skłania ją do samobójstwa.

Dr. L. Winiarski.

MICHAŁ BAŁUCKI.

(WSPOMNIENIE POZGONNE).

Jednym, po latach pracy i trudu wystarczy emerytura, zabezpieczenie materyalne naresztę dni, świadomość wreszcie, że się było czemś, że się pracowało i wytwarzało jakieś użyteczności; innym—nie dość tego! Trzeba im poczucia, że poziom ich ducha nie zniża się z wiekiem, z ubytkiem sił; niezbędnem jest dla nich do życia przeświadczenie, że możność ich pracy, pozostaje wciąż jednaką, że *jutro* powtórzy *wczoraj*, nie zmniejszając ich wartości. Gdy tego nie mają, zaczyna nawiedzać ich duszę najstraszniejszy z upiorów: poczucie niemocy... Jedni go obłaskawiają, zżywają się z nim i, żyjąc wspomnieniami lepszych dni, dochodzą ich kresu. Są jednak tacy — i tych najwięcej wśród ludzi oddanych pracy twórczej — którzy nie mogą sobie z nim poradzić i czynem rozpaczy, odpędzają od siebie, widmo złowrogie.

Podobno—jeżeli pogłoski i domysły, dotyczące pobudek samobójstwa Michała Bałuckiego są prawdziwe — należał do nich i zmarły powieścio- i komedyopisarz.

Ten zrównoważony i jowialny dostarczyciel wesołych wrażeń, nie potrafił jednakże siebie samego ukoić, nie mógł tragedyi wewnętrznej, płynącej z poczucia rozstroju sił duchowych, zastąpić farsą zgody z losem, życia tem, czem się było niegdyś... Wzruszający koniec, jeden z faktów otwierających ponury widok na ogrom cierpień ludzkich.

Autora znaliśmy wszyscy doskonale, z faktu tego poznaliśmy lepiej człowieka. Złożywszy mu hołd, zwróćmy się do autora.

Popularność swoją wśród ogółu, wyrobił sobie Michał Bałucki przedewszystkiem utworami na scenę, których łatwa, grubo humorystyczna treść była dostępną jak najszerszym sferom Były to, w znacznej części, farsy dobrodusznie - żartobliwe, pełne ruchliwych scen, komicznych sytuacyj, dowolnie zawiązywane i rozwiązywane, obfitujące w mnóstwo trafnych obserwacyj, zarażające widza szczerym, hałaśliwym śmiechem. Satyra Bałuckiego nie gryzła do krwi, nie piętnowała nikogo rozpalonem żelazem — drwiła tylko głośno i wybuchała śmiechem, na widok małych podłostek, intryżek, kłamstw i drobnych upadków natury ludzkiej. Zwłaszcza śmieszności i upodlenia życia towarzysko-obyczajowego, znajdowały w nim dokucznego podpatrywacza, lubującego się w całej płaskości i głupocie tych stosunków. Psychologicznie głębszych, w rysunku subtelniejszych rzeczy mało stworzył, w takich wszakże doskonałych farsach, jak: „Dom otwarty,“ „Grube ryby,“ „Radcy pana Radcy“ itp. — wyrwał z życia sporo prawdziwych, zabawnych postaci, dał wiele obrazów barwnych, charakteryzujących jaskrawo stosunki towarzyskie, zwłaszcza wszelkich małych, puszących się światków. Werwę satyryczną i dowcip spożytkował również M. Bałucki i w licznych powieściach swoich, z których nie jedna cieszyła się dużem powodzeniem (np. „Z obozu do obozu,“ „Błyszczące nędze,“ „Biały murzyn“ itp.) Pamiętam, że kilkanaście lat temu, młodzież rozczytywała się bardzo w pierwszych powieściach Bałuckiego, pisanych pod pseudonymem Elpidona. I nic w tem dziwnego, gdyż takie utwory, jak: „Przebudzem,“ „Młodzi i starzy“ itp., pisane pod wrażeniem świeżo przebytych wypadków społecznych, posiadały wielki urok, entuzyazmem przejmowały serca gorętsze, jednały szlachetnością przekonań i żywotnością poruszanych zagadnień. Powieści pisane po 1870 r., mają charakter właściwy tej dobie życia naszego: pragną służyć ogółowi zdrową radą, być wskazówką i pomocą w rozstrzyganiu masy „kwestyj,“ związanych z tem, co podówczas nazywano „pracą u podstaw.“

Bałucki, zawczasu zaciągnął się pod sztandar tych, którzy pracy takiej byli oddani, i należał do bardzo szczerych i szlachetnych pracowników tego typu. Był przedstawicielem umiarkowanego postępu, krańcowych programów nie stawiał, ale też pozostawał zawsze wierny sobie, służąc idei, nie zaś chwilowym układom ludzkim.

W powieściach jego, odnajdujemy odbicie tych wszelkich trosk, które płynęły z nowych warunków naszego bytu, a któremi lepsza cząstka inteligencyi naszej, żywo się wówczas przejmowała. Sprawy oświaty ludu, stosunku klas; kwestya żydowska, kobieca, arystokracyi i demokracyi, stosunek idei do życia, marzenia do rzeczywistości itp., wszystkiem tem zajmował się Bałucki — powieściopisarz,

a zawsze gorąco, z przekonania wewnętrznego, nie zaś z powodu wziętości tych lub innych tematów powieściowych. Dużo myśli przezornych, uczuć szlachetnych i krzepiących rozsiał w swoich powieściach, dużo trafnych poglądów na życie nasze wyraził. Artyzm nieraz cierpiał z powodu tego wszystkiego, ale to był błąd wspólny również całemu okresowi twórczemu, tem łatwiejszy do przebaczenia, że płynął z poczucia obowiązków, ze szlachetnej chęci poświęcenia swoich osobistych upodobań i odrębności indywidualnych celom ogólnym, pożytkowi zbiorowemu. Wśród powieściopisarzy, okresu „pracy u podstaw,“ Bałucki zajmować będzie zawsze, jedno z zaszczytniejszych miejsc; jako twórca utworów scenicznych, długo jeszcze będzie przedmiotem szczerego żalu wśród rzeszy miłośników wesołej rozrywki; jako człowiek przekonań budzić będzie zawsze dla siebie szacunek w kołach żyjących ideą obowiązku i poświęcenia się dobru ogólnemu.

Wł. Jabłonowski.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

— Daniel Zgliński: *Fejletony, Humoreski Bajki*, str. 90. Warszawa, r. 1901. Wydawnictwo Wł. Okręta.

P. Daniel Zgliński, autor rozprawy „Humor w Panu Tadeuszu“ i kilku utworów dramatycznych, przypomniał się świeżo czytającemu ogółowi wydaniem zbioru swych fejletonów, humoresek, bajek i aforyzmów, drukowanych dawniej w różnych czasopismach, głównie w *Nowinach* za redakcyi Bolesława Prusa. Są w tym zbiorku rzeczy, pisane prozą i wierszem, są rozprawki poważne („Kobieta w przekonaniu Schopenhauera“), napół poważne i zupełnie żartobliwe w rodzaju np. owego „studyum familijnego“ o „Teściowej.“ Kilka głębszych myśli, które i dziś nie utraciły znaczenia, można odnaleźć w rozprawce, zatytułowanej „Lato i zima w życiu naszem.“ Cechą jednak ogólną tych drobiazgów jest pewna błyskotliwa, lecz zimna paradoksalność; z humorem cieplejszym nie spotykamy się w nich prawie. Największą wartość literacką ma w tej książce zręcznie skreślony dyalog między salonowcem i poetką p. t. „Poezya i Prawda.“ Bajki, dobre zazwyczaj w pomyśle, nie stoją pod względem formy na wysokości wybredniejszych wymagań artystycznych. Z aforyzmów niektóre tylko noszą znamię głębszej myśli. Oto trzy próbki charakterystyczne: „Wierzyłbym w moralność kar na świecie, gdyby stokrotnie win nie prześcigały.“ „Gdy ojciec wspomaga syna, obaj się cieszą; gdy syn ojca — obaj płaczą.“ „Jeśli choć raz w ciągu roku nie odczytam „Pana Tadeusza,“ wydaje mi się, żem rok ten w życiu zmarnował.“ *wb.*

HISTORYA. W. Przyborowski: „Z przeszłości Warszawy,“ szkic historyczny. Serya II: Legendy warszawskie, str. 262, c. 1 rb. 20 kop., nakł. Dubowskiego

— S. Askenazy: „Sto lat zarządu w Królestwie Polskiem, 1800—1900,“ str. 68, Lwów, nakł. Altenberga.

— Karejew: „Istorija zapadnoj Jewropy w nowoje wremia,“ t. IV, Petersburg.

— Awasłow: „Prisajedinienie Gruzii k Rossii.“ Petersburg.

BIOGRAFIA. H. Ułaszyn: „Dr. W. Wisłocki,“ notatka, str. 23. Nakł. Gebethnera i Wolffa.

GEOGRAFIA. Barcz: „Mapa Królestwa Polskiego,“ nakł. Gebethnera i Wolffa.

FILOZOFIA. Jm. Kant: „Prolegomena do wszelkiej przyszłej metafizyki itd.,“ przełożył z oryginału Piątkowski. Str. 159, c. 50 kop., Wende.

— Mercier: „Kryteryologia,“ przekł. Kosiakiewicza i Krasnowolskiego. Str. 462, nakł. *Przegl. Filoz.*

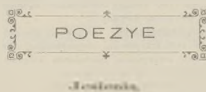
PSYCHOLOGIA. J. Mazurkiewicz: „Andrzej Towiański,“ studyum psychologiczne, wyd. z [illegible] Kasy Mianowskiego. Gebethner i Wolff.

— William James: „Nałóg,“ szkic psychol., tłom. dr. Radziwiłłowicz, wyd. *Przegl. Filoz.*, str. 59.

— F. Thomas: „Kształcenie uczuć,“ z franc. przeł. E. Stojowski, str. 272, skład w red. *Głosu*.

PRZYRODA. G. Francolin: „Pierwsze początki chemii“ (dla samouków), z franc. przeł. i uzupełnił Wł. U. Str. 143, c. 40 k., nakł. Dubowskiego.

PAMIĘTNIKI. J. Dunin-Karwicki: „Z moich wspomnień,“ 2 t., nakł. Dubowskiego.



POEZYE

Jesienią.

Przez nagie, ciche martwych pól przestrzenie,
W jakiejś potężnej, królewskiej zadumie
Płyną dwa duchy błędne, srebrne cienie —
W jesiennych wichrów płyną smutnym szumie
Kędyś w dal mglistą, kędyś w nieskończenie...

Targane wiatrem stoją smutne grusze,
U stóp ich leżą zwiędłe, zżółkłe liście,
Niby strącone z niebios smutne dusze,
A psalm jesieni huczy uroczyście,
Budząc odludne, mroczne leśne głusze.

W ciemnej, mistycznej głębi uroczyska,
Gdzie stoją smutkiem całowane drzewa,
Jakieś światełko blade w mrokach błyska,
W podziemiach głuchych cichy jęk omdlewa
I szatan dzikie odprawia igrzyska.

Przez melancholią spowite ugory,
Gdzie legła straszna, milcząca martwota,
Wloką się czarne snów jesiennych zmory
I chwiejnym krokiem idzie w dal tęsknota,
A za nią płaczą obumarłe bory...

Zygmunt Różycki.

Hipolit Wawelberg.

Mogiły ludzi wybitnych mnożą się szybko na naszym cmentarzu, jak fale morza. Zmarły w zeszłym tygodniu H. Wawelberg należał od lat kilku do ludzi, używających szerokiego rozgłosu. Długo całkiem nieznany po za sferą finansową i wyłącznie zajęty obrotami bankierskimi, nagle i efektownie wystąpił na widownię z hojnym darem, po którym zaczął ciskać w bezdenną otchłań naszych potrzeb inne, również szczodre ofiary. Przypadły one w udziale biedakom, robotnikom, literatom, młodzieży szkolnej itd. Dzięki jemu powstawały domy, przytułki, stypendya, wydawnictwa, szkoły, a przez pewien czas wszelkie zamiary, dążenia, pomysły filantropii społecznej zwracały się do niego, jako do głównego zbawcy i dobrodzieja. Wawelberg miał w sobie dużo z natury bogaczów amerykańskich, którzy doszedłszy do punktu nasycenia pieniężnego, uczuwają chęć zdobycia odznaczeń obywatelskich w wielkim stylu i promieni sławy dla swego materyalnego stanowiska. Nie rozrzucał on przytem swoich środków bezmyślnie, lecz miał pewien plan, pewien program działania. Szło mu zaś przedewszystkiem o rozwinięcie i wzmocnienie sił technicznych kraju, o nadanie jego uzdolnieniom praktycznym większej sprawności za pomocą stosownej oświaty i dobrobytu. Niewątpliwie stał on się pod tym względem dzielną i skuteczną dźwignią, a ponieważ ze swych bogatych zdobyczy finansowych ofiarował społeczeństwu wyższy procent darów, niż ktokolwiek inny w jego miejscu, więc też zyskał wyjątkowo uznanie.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. W Homlu krawcy damscy organizują związek, którego zadaniem ma być praca na ogólny rachunek. Udziały po 25 rb. Obowiązkowy dzień pracy oznaczono na 11 i pół godziny.

— W Cieszynie z inicyatywy ks. Londzina, prefekta tamtejszego gimnazyum polskiego, powstało „Towarzystwo ludoznawcze polskie.“

— Wkrótce będzie wniesiony do Rady państwa wypracowany przez osobną komisyę projekt przepisów o odpowiedzialności przedsiębiorców za nieszczęśliwe wypadki z robotnikami.

Zapis. Zmarły w Berlinie W. Kossowski, sędzia śledczy odeskiego sądu okręgowego, przeznaczył cały swój majątek, wynoszący kilkanaście tysięcy rubli, dla Kasy Mianowskiego.

Z uniwersytetu. We Lwowie odbył się wiec akademików żydowskich, na którym postanowiono przystąpić do założenia stowarzyszenia akademickiego pod nazwą „Wiedza żydowska,“ w celu większego zainteresowania akademików żydowskich judaistyką, literaturą, kulturą i historyą żydowską. Dalej zapadła uchwała, wyrażająca przekonanie, że młodzież żydowska na zewnątrz powinna popierać przedewszystkiem sprawy ludu żydowskiego, w kwestych zaś ogólnych, nie żydowskich — partye najbardziej postępowe. W końcu uchwalono zwołać wiece w uniwersytecie i politechnice i domagać się na nich uznania w tych zakładach narodowości żydowskiej.

— Minister oświaty postanowił znieść egzaminy konkursowe w wyższych specyalnych zakładach naukowych. W celu opracowania tej zmiany utworzona została komisya z członków ministeryum.

Szkoły. Jest projekt urządzenia inspekcyi szkół handlowych wyłącznie dla okręgu warszawskiego, gdyż obecny nadzór, rozciągający się na okręgi: warszawski, wileński i ryski, nie wystarcza za-[illegible]

— W celu dokładnego zbadania, jakie znaczenie ma praca fizyczna w szkołach początkowych i jakie korzyści przynieść może, ministeryum oświaty poleciło przełożonym szkół miejskich zebrać dane o stanie byłych uczniów tych szkół, a zwłaszcza o ich charakterze.

— Ministeryum skarbu uwiadomiło warszawskie szkoły handlowe, że ponieważ praktykowany dotąd system ogłaszania konkursów i nagród na napisanie najlepszych podręczników szkolnych nie dał pożądanych wyników, przeto wydział naukowy ministeryum skarbu zamówił je u specyalistów w każdej gałęzi wiedzy.

— Ministeryum oświaty projektuje zamianę wszystkich szkół technicznych czteroklasowych na siedmioklasowe z nadaniem im nazwy realno-przemysłowych. Przez pięć lat trwać będzie kształcenie ogólne, dwa zaś ostatnie przeznaczone będą na nauki specyalne, jak: budownictwo, mechanika itp. Kończący szkołę otrzymywać będą tytuł pomocnika inżeniera, mechanika itp.

— Niektóre zarządy warszawskich szkół handlowych, zwróciły się do wydziału naukowego ministeryum skarbu z zapytaniem, na jakich warunkach mogłyby być dopuszczane na wykłady osoby, interesujące się sprawą wykształcenia handlowego w celach pedagogicznych.

Dla kobiet. Zarządzający wydziałem naukowym ministeryum skarbu polecił dyrektorowi szkoły handlowej dla kobiet w Pabianicach, wypracować projekt organizacyi szkół handlowych żeńskich, który ma być czytany na zebraniu dyrektorów szkół handlowych i przedstawicieli rad opiekuńczych w Petersburgu w początkach roku przyszłego.

— Rada uniwersytetu kijowskiego otrzymała memoryał podpisany przez dwudziestu profesorów z żądaniem dopuszczenia kobiet na wydział filologiczny i matematyczny.

Nauka. Ministeryum spraw zagranicznych zawiadamia, iż osoby wysyłane za granicę w celach naukowych, powinny, dla ułatwienia sobie dostępu do różnych zakładów i instytucyj, zwracać się do miejscowej władzy naukowej, która drogą dyplomatyczną dostarczy im listów polecających. Z ułatwienia tego mogą korzystać tak osoby prywatne, jak urzędnicy.

Hygiena. Wydział wychowawczy Towarzystwa hygienicznego zamierza zorganizować szereg odczytów publicznych z zakresu hygieny szkolnej.

Stemple. Departament podatków bezpośrednich zawiadamia, że plany budowli, oraz podania na wznoszenie ich, przedstawione do zatwierdzenia zarządom miejskim nie podlegają opłacie stemplowej; wnoszone do władz wyższych, winny być opłacane w wysokości 60 kop. Nie podlegają również opłacie stempla podania o wybór zatrudnienia lub pozwolenie przypisania się do jakiegoś stanu lub urządzenia społecznego.

Indeks. Papież Leon XIII polecił usunąć z indeksu ksiąg zakazanych dzieła Galileusza, które tam umieszczono w roku 1816 z polecenia Urbana VII.

Dentyści. Warszawski urząd lekarski zawiadomił wszystkich dentystów, iż na zasadzie rozporządzenia departamentu lekarskiego, nie wolno im nadal przyjmować uczniów. Uczniowie i praktykanci, zapisani już w urzędzie lekarskim mogą jednak kończyć naukę i starać się o prawo praktyki drogą dotychczasową.

— Rada lekarska ministeryum spraw wewnętrznych, podejmując reformę szkół dentystycznych, zamierza przedłużyć kurs nauki z dwu i pół do czterech lat, oraz rozszerzyć prawa tych zakładów.

Konkursy. Rozstrzygnięty został konkurs muzyczny imienia Maurycego hr. Zamoyskiego. Nagrody pierwszej rb. 1000 nie przyznano nikomu. W sumie następnych nagród poczyniono zmiany i przyznano: rb. 250 p. Z. Stojowskiemu za fantazyę polską na fortepian z orkiestrą; rb. 250 p. G. Fitelbergowi, członkowi orkiestry Filharmonii warszawskiej, za trio na fortepian, skrzypce i wiolonczellę; i rb. 250 p. H. Lewy za sonatę na fortepian i skrzypce. Wobec nieprzyznania pierwszej nagrody i zmniejszenia drugiej, pozostało rb. 1250; za zgodą więc ofiarodawcy postanowiono ogłosić nowy konkursu.

Rolnictwo. Opracowano przepisy udzielania pożyczek przez Bank państwa właścicielom gorzelni na zakupiony od nich spirytus. Pożyczki te będą wydawane w stosunku 60% wartości produktu.

Cło. Na mocy nowych przepisów, osoby niezadowolone z decyzyi komór co do wysokości nałożonego na towar cła, lub kary, winny w ciągu trzech tygodni wnieść zażalenie do departamentu celnego. Do zażaleń tych komory obowiązane są dołączać wszelkie potrzebne dowody.

Koleje i komunikacye. Utworzona została komisya w celu przejrzenia obowiązującej obecnie ustawy kasy emerytalnej inżenierów komunikacyi Okazało się bowiem, że w kasie tej jest deficytu 2 i pół miliona rubli. Komisya opracowała projekt nowej ustawy, opartej na zasadach ubezpieczniowych.

— Od d. 1 listopada r. b. zaprowadzoną zostaje w celu przewozu podróżnych i bagażu z Petersburga, Moskwy i Warszawy do portów włoskich Ankony i Wenecyi i odwrotnie bezpośrednia komunikacya. Przejazd odbywać się będzie od stacyi Granica kolejami austryackiemi przez Oderberg, Budapeszt do portu Fiume, skąd dalej do portów włoskich parowcami Towarzystwa węglersko-krakowskiego. Na całą tę przestrzeń, obliczając i podróż morską, ustanowione zostały bilety z kuponami do klasy I i II. Bilety te ważne są na pociągi kuryerskie i pospieszne; miejsca w wagonie sypialnym za dodatkową opłatą mogą zająć tylko podróżni klasy I-ej.

— *Finl. Gazeta* donosi, iż urzędnicy finlandskich kolei skarbowych otrzymują po 600 rb. zapomogi na kształcenie się w języku rosyjskim.

Odpowiedzi Redakcyi.

Czytelnikowi H. K. Najlepsze studyum o Adamie Mickiewiczu napisał Piotr Chmielowski. Co do historyi zaś, nie możemy wskazać jednego ogólnego podręcznika. Jest wiele dzieł wzajemnie się uzupełniających. Bardzo popularną, dla ludu, wydał przed laty Józef Chociszewski. Ale dziś, zdaje się, już wyczerpana.

Ciekawej. Zdarzenie to istotnie miało miejsce i żadnej wątpliwości nie podlega. Takich „kaczek" w dzisiejszych czasach nawet dziennikarzom puszczać nie wolno.

Redaktor i wydawca **A. Świętochowski.**

Дозволено Цензурою, Варшава, 11 Октября 1901 года. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.